

JUŻ NIE CHCĘ BYĆ  
CZŁOWIEKIEM

OPOWIEŚĆ  
O PRZETRWANIU  
ZAGŁADY

Pieter van Os

Przełożyła Iwona Mączka



# Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXIX Nr 9(337) Żelów, wrzesień 2024

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

## W numerze:

**Wiersze:** Małgorzaty Anny Bobak-Końcowej,  
Andrzeja Gnarowskiego, Jarosława Stanisława  
Jackiewicza, Ireny Tetlak, Juliusza Wątroby  
**Andrzej Dębkowski** – Powstanie Warszawskie  
**Józef Baran** – Ławeczka Barana (22)  
**prof. Maria Szyszkowska** – Filozofia  
codziennosci (215) oraz Grażynka  
**prof. Ignacy S. Fiut** – Poetycka kronika wojny  
w Ukrainie  
**Stefan Jurkowski** – Profesor Syfilutek  
**Joanna Friedrich** – Zielona noc  
**Andrzej Walter** – Konstelacje znaków i przeszkód  
**Kazimierz Ivosse** – Okruch ostatniej kromki  
Chleba  
**Mirosław Osowski** – Moja walka z rakiem (60)  
**Eugeniusz Kurzawa** – Spis treści (24)  
**Jerzy Jankowski** – Jára Cimrman  
i Hulka-Laskowski  
**Dariusz Pawlicki** – O przemieszczaniu się na  
własnych nogach & świata poznawaniu  
**Igor Mostowicz** – O świecie, który przeminął  
**Jerzy Stasiewicz** – Przywracanie pamięci...  
**Sylvia Kanicka** – Monet i Żarów spoglądają  
na świat  
**Jerzy Languaer** – Spiski życiowe  
Witryna  
Opinie  
Noty  
Poglądy  
Informacje  
Kronika  
Konkursy  
Szkiecy  
Eseje  
Publicystyka  
Felietony  
Krytyka  
Filozofia



Z cyklu: Pejzaże Polski

Fot. Andrzej Dębkowski

## Konkursy



### Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Władysława Broniewskiego „O Liść Dębu”

Organizatorami konkursu są: Książnica Płocka im. Władysława Broniewskiego oraz Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich Oddział w Płocku.

Uczestnikiem może być każdy autor, który w terminie do 16 września 2024 r. nadesłanie zestaw

wierszy, niepublikowanych w wydawnictwach zwartych i czasopismach (zastrzeżenie dotyczy czasopism i magazynów papierowych oraz internetowych, natomiast dopuszczamy teksty publikowane na blogach i prywatnych stronach autorów). Teksty nie mogą być nagrodzone w innych konkursach.

Nadsyłane prace powinny być napisane w języku polskim. Organizatorzy nie ograniczają tematyki, sugerują jedynie możliwość sięgnięcia po tematykę płocką.

Na konkurs należy nadesłać zestaw pięciu wierszy w czterech kompletach (w postaci maszynopisu, wydruku komputerowego lub czytelnego rękopisu).

Uczestnicy wysyłają prace na adres: Książnica Płocka im. Władysława Broniewskiego, ul. Tadeusza Kościuszki 6, 09-402 Płock.

Nadsyłane teksty powinny być opatrzone godłem (pseudonimem). W osobnej kopercie, oznaczonej takim samym godłem i dołączonej do zestawu wierszy, należy umieścić: imię, nazwisko, adres autora, a także numer telefonu kontaktowego i adres mailowy.

Jeżeli uczestnikiem jest osoba niepełnoletnia, w kopercie z godłem należy umieścić podpisane przez rodzica lub opiekuna prawnego oświadczenie o wyrażeniu zgody na przeniesienie praw autorskich, przetwarzanie danych osobowych oraz wykorzystanie wizerunku.

Każdy uczestnik konkursu może nadesłać tylko jeden zestaw wierszy.

Na kopercie z nadsyłanymi pracami powinien znaleźć się dopisek: Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Władysława Broniewskiego „O Liść Dębu”.

Organizatorzy nie zwracają tekstów i zastrzegają sobie prawo do nieodpłatnej publikacji nagrodzonych wierszy oraz nazwisk ich autorów w wydawnictwie pokonkursowym, prezentacji w prasie, radiu, telewizji, a także do rozpowszechniania utworów w Internecie (m.in. w Mazowieckiej Bibliotece Cyfrowej).

Przystąpienie do konkursu jest równoznaczne z akceptacją regulaminu oraz wyrażeniem zgody na publikację w wydawnictwie pokonkursowym.

Szczegółowe dane osobowe uczestników konkursu będą w posiadaniu organizatora jedynie w okresie nadsyłania zestawów i pracy jury, po czym zostaną usunięte.

Warunkiem udziału w konkursie jest wyrażenie zgody na przetwarzanie przez Organizatora danych osobowych uczestnika konkursu (w przypadku osoby niepełnoletniej zgodę wyraża jego rodzic/opiekun prawny), a także zgody na publikację utworów. Wymagane formularze znajdują się na stronie internetowej Książnicy Płockiej.

Prace nadesłane na konkurs oceniać będzie jury złożone z krytyków literackich, poetów i przedstawicieli organizatora.

Przewiduje się następujący podział nagród i wyróżnień (finansowych):

- Nagrody i wyróżnienia ogólne (w tym I Nagroda Prezydenta Miasta Płocka - „Liść Dębu”),

- Wyróżnienie Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich Oddział w Płocku,

- Wyróżnienie za zestaw wierszy o tematyce związanej z Płockiem (nawiązujący do historii lub współczesności miasta lub do postaci i twórczości Władysława Broniewskiego),

- Nagroda Dyrektora Książnicy Płockiej w kategorii: limeryk (nagrodzony zostanie najlepszy zestaw limeryków lub najlepszy pojedynczy utwór w tym gatunku literackim).

Uroczystość wręczenia nagród odbędzie się 16 listopada 2024 r. w sali koncertowej Państwowej Szkoły Muzycznej w Płocku.

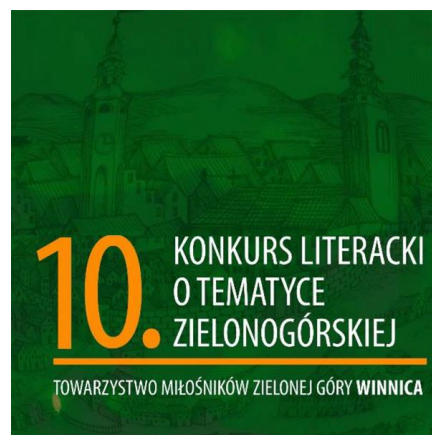
W przypadku nieobecności na gali laureatów i osób wyróżnionych (lub ich przedstawicieli) – nagród rzeczowych i statuetki nie wysyłamy.

Organizator nie zwraca kosztów przejazdu i noclegu.

### Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Środek Wyrazu 2024”

Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Środek Wyrazu 2024” adresowany jest do autorów, którzy ukończyli 18 rok życia, debiutujących lub mających na koncie nie więcej niż jedną książkę autorską. Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest przesłanie trzech utworów poetyckich, które nie były wcześniej nagradzane i publikowane, w tym także w internecie. W jury tegorocznej edycji zasiadają: Tadeusz Pióro, Anna Matysiak i Adam Wiedemann. Ostateczny termin nadsyłania prac upływa 16 października 2024.

**Osoba do kontaktu:** Paweł Stasiewicz  
e-mail: p.stasiewicz@dokursynow.pl



Organizatorem konkursu jest Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”.

Praca powinna mieć formę poetycką lub prozatorską (opowiadanie, legenda, esej). Tematyka prac jest dowolna. Praca musi jednakże w swej treści nawiązywać do tematu Zielonej Góry, Prace nadesłane na konkurs muszą stanowić od początku do końca twórczość własną uczestnika konkursu. Tekst nie może być wcześniej nagradzany.

Prace nieprzekraczające 10 stron w trzech egzemplarzach (maksymalnie 18 tys. znaków) należy przysyłać tradycyjną pocztą pod adresem: Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, ul. Lisia 37, 65-093 Zielona Góra. Przesyłka powinna być podpisana „Konkurs na utwór zielonogórski”. Ponadto utwór zapisany w formacie doc/docx lub pdf należy przesyłać pocztą elektroniczną pod adresem: tmzg-winnica@o2.pl. W tytule maila proszę podać „Konkurs literacki”.

Termin nadsyłania i zgłaszania prac – 30 września 2024 r.

Wszelkie pytania odnośnie konkursu należy kierować bezpośrednio do organizatora, pod adresem: tmzg-winnica@o2.pl

Andrzej Walter

# Konstelacje znaków i przeszkód

Zbigniew Milewski w swoim najnowszym tomie rozważa jaki jest dziś literacki kształt rzeczy. Zastanawia się i zgłębia: jaki jest sens poezji, czy też, co to znaczy być poetą, kiedy się ma skrzydła, a kiedy zaśłania nas własny cień. Konstelacje wydają się być żywym, pulsującym tekstem usiłującym określić wszystko to, co nas twórców teraz nurtuje chwila po chwili, dzień po dniu i w wyobrażeniu jutra. Więcej w nich pytań niż odpowiedzi, nieco brak spójności wyrazu, ale muszę przyznać, że to mimo wszystko tom dobry, tętniący otwartymi pytaniami o szerokich horyzontach oraz ożywiającym zamętem, jakże niezbędnym do snucia rozmyślań o sprawach i rzeczach w literaturze najważniejszych.

Autor stawia bardzo istotną tezę, której w zasadzie jeszcze nie słyszałem, a może nie słyszałem w tej formie, acz wydaje mi się ta teza niezwykle ważną: **tworzymy dziś poezję, która opisuje świat jak dawniej proza**. W swoich analizach literackich doszedłem do konotacji, że faktycznie, nie ma dziś prozy pokroju dawnych mistrzów w minionych przypadkach chociażby: Hemingwaya, Dostojewskiego, Prousta, czy też Joyce'a albo naszego Bolesława Prusa. Proza przestała dziś: opisywać, opowiadać i rozpoznawać świat, a jeśli, to czyni to śladowo, rachitycznie i szczątkowo. Można obrazoburczo określić, że czyni to uzurpatorsko, często na zamówienie poprawności dziejowej, światopoglądowej bądź politycznej, zamiast poszukiwać prawdy i do tego jeszcze poszukiwać bogactwa formy interpretacji tej prawdy i jej kształtu czy wyrażenia. Proza stała się albo miętą, albo ma kreować li tylko czystą rozrywkę czy też lekko, łatwo i przyjemnie potraktować czytelnika niczym dobry film, z skupieniem uwagi na krótko i szybko zmieniającym się wątkiem tudzież mnożeniem wydarzeń wręcz nieprawdopodobnych.

Proza dziś: nie analizuje, nie snuje wielowątkowej narracji, nie zgłębia się w nudny opis i toczącą się jak życie opowieść. Musi gnać, pośpieszać i tętnić żywym ogniem sensacyjnej kryminalności (niejako zakpię z jej proveniencji). Inaczej uznawana jest za: nudną, męczącą i wyzywająco niepotrzebną. Niech nas nie zmyli Tokarczuk czy inni tego typu, w świecie skrótów i obrazka to byty uzasadnione. Kontrybyty dla nielicznej grupki snobów wszelkiej maści i do tego poprawnych (jak wspominałem) politycznie, a w zasadzie światopoglądowo.

Funkcję opisu i rozpoznania świata i jego prawd przejęła poezja. Ta poezja „po

Różewiczu” zanurzona w Różewiczu i jemu podobnych albo w jego naśladowaniu, w jakże pozytywnym aspekcie rozwijania tej koncepcji poezji. Poezja opisu, **proezja**, jak mawiał nieoceniony i niezapomniany Leszek Żuliński, poezja opowieści i poezja faktu. Poezja, której metafora ukryta jest między słowami, w sytuacji, w kontekście, w puencie, w wyrazie. Poezja, której ulotność z westchnieniem przemieniła się w zamyślony intelekt, w melancholię dekadencji i w dalece lapidarny tekst mający nami bardziej wstrząsnąć niż rozanielić. Oczywiście są bardzo różne jej formy wyrazu. Język tej poezji też zasadniczo bywa bardzo odmienny, a jednak jej wydźwięk utrzymuje się w ryzach zszokowania współczesnością, która zamyka nas w kłatkach cyfryzacji i na łączach wirtualnych. Milewski w tym kontekście zadaje mnóstwo pytań. Już same te pytania zmierzają do samoistnej metaforyzacji rzeczywistości. Czy każdy wers ma cię zaskoczyć? Czy w raju mieszka śmierć? Zbigniew Milewski deklaruje, że pisze dla przyszłości, ale czy wierzy w tę przyszłość? Może i tak.

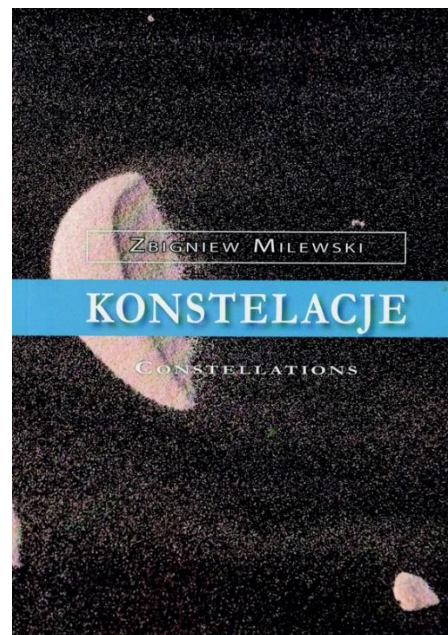
Czytając ten tom i nie mogąc się uwolnić od naszej znajomości i przyjaźni literackiej sam się zastanawiałem na ile Zbigniew Milewski, Autor, jest tutaj rewolucjonistą, a na ile uzurpatorem, pozerem, czy też człowiekiem od brudnej roboty czyli zadania tego pytania bez odpowiedzi – bez odpowiedniej dozy buntu i złości? Milewski jednak pyta, czy może stwierdza pytając – jaka jest nowa baśń współczesna, a szyderstwo zawarte w tym pytaniu i kontekście rozważań sugeruje, że po prostu jej nie ma, albo obecne pokolenia nie są po prostu zdolne taką baśń stworzyć, gdyż już w nic nie wierzą, a najmniej w baśń.

Wiele nam mówi Milewski o powołaniu. Mamy dziś problemy z rozpoznaniem prawdy powołania. Szamoczymy się, szarpimy, domagamy się jakichś oczywistych rozwiązań, wspinamy się po schodach bytu nie wierząc już w powołanie, wierząc w determinację przypadku, powołanie wkładając pomiędzy biblijne bajki i przekazy. Spotkałem się już z kilkoma bardzo krytycznymi ocenami tego tomu. Uważam te opinie za przesadne, pochopne i nieprzemyślane. Wynikające zapewne z niedokładnej i pobieżnej lektury, ale i poczynionym założeniom a priori, a przecież nie o to chodzi w docieraniu do Prawdy.

Nie szkodzi. Niejednoznaczność w ocenie powoduje tylko kontrowersję, a ta jak wiemy służy uznaniu dzieła za ciekawe i poddające

czytelnika procesom myślowym, kod których odwykł na co dzień.

W finale zauważyłem, że Autor „Konstelacji” stawia pytanie niejasne, zakamuflowane, o odróżnianie znaków od przeszkód. Już samo zestawienie tych kategorii wiele nam powie o naturze tego poety. Kto odróżnia znaki od przeszkód chce niejednoznacznie iść naprzód – rozpoznając, że znak ... to znak, a nie przeszkoda, przeszkoda, którą przecież trzeba w końcu pokonać. Wydaje się, iż determinantą bytu jest tu walka, prowokacja i iluzja. Być może to swego rodzaju odpowiedź na tragedię wszechświata dziejącą się na naszych oczach. Ten wszechświat to my i naprzeciw światu u progu wojny, albo choć dziejowych zmian i zawirowań. Ten wszechświat to nasze nadzieje, wiary i miłości i naprzeciw deformacje tych pojęć serwowane nam zewsząd, aż wreszcie ten wszechświat to my jako drażniące przypadki psujące dobre samopoczucie demiurgom zmian i rozprzestrzenianiu nowej rzeczywistości. Jakoś chyba my do tej nowej bajki nie za bardzo pasujemy.



Zbigniew Milewski, *Konstelacje / Constellations*. Tłumaczenie na język angielski i korekta: Hanna Milewska. Projekt graficzny książki i okładki: Danuta Witkowska. Redaktor i koordynator projektu: Danuta Bartosz. Wydawca: Fundacja Literacka „Jak podanie ręki”, Poznań 2023, s. 78.

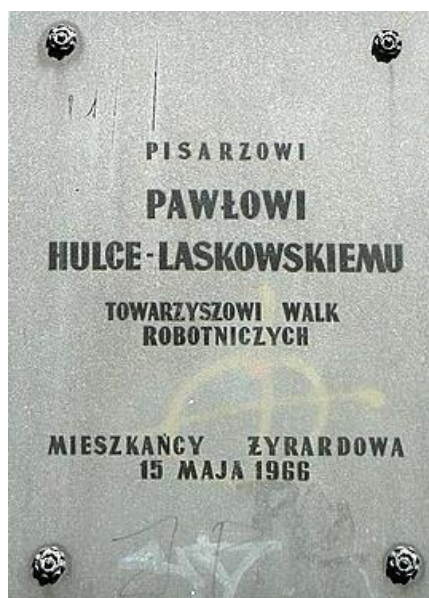
Jerzy Jankowski

# Jára Cimrman i Hulka-Laskowski

Bardzo niewiele osób wie, że Paweł Hulka-Laskowski i znany czeski artysta, ale także wynalazca Jára Cimrman znali się, widywali, a nawet odwiedzali. Hulka-Laskowski – wiadomo – to m.in. genialny tłumacz „Przygód dobrego wojaka Szwajjka” Jaroslava Haszka. Studiował w latach 1903-1908 w Heidelbergu w Niemczech i to tam ponoć właśnie poznał Cimrmana. Karol Dittrich jr. dostrzegając zdolności i pracowitość Pawła Hulki-Laskowskiego przyznał mu stypendium, stąd wyjazd do Heidelbergu i pogłębianie wiedzy z filozofii i religioznawstwa.

Jára Cimrman urodził się natomiast w Wiedniu, był podobno synem czeskiego krawca Leopolda Cimrmana i austriackiej aktorki Marlen Jelinek-Cimrman. Był też dramaturgiem, filozofem, bywa nawet określany jako czeski geniusz. W sześciu miastach w Czechach są ulice jego imienia m.in. w Brnie i Ołomuńcu. Nie do końca znany jest rok jego urodzenia, bo jak twierdził żartobliwie, urodził się jako zupełnie nieznaną osobą. To właśnie poczucie humoru i studiowanie filozofii w Heidelbergu łączy losy Hulki-Laskowskiego i Cimrmana. Warto tu przypomnieć, że „hulka” po czesku oznacza „laska”, stąd pseudonim Laskowski, którym często żyrardowianin się podpisywał. Zresztą, kto zna jego tłumaczenie Szwajjka, ten z pewnością przyzna rację, że żyrardowski tłumacz musiał mieć kolosalne poczucie humoru.

najwybitniejszego Czecha. Pojawiło się na liście wiele znanych nazwisk, od artystów, przez polityków aż po dawnych władców, w tym gronie znalazł się i Cimrman. Nawet nakręcono o nim specjalny film dokumentalny. Jest tematem prac dyplomowych i doktoratów, a Poczta Czeska wydała w 2014 roku okrągłe znaczki pocztowe z jego podobizną. Mało tego, imię Cimrmana nadano szczytowi w górach Altaj, a nawet jednej z planetoid.

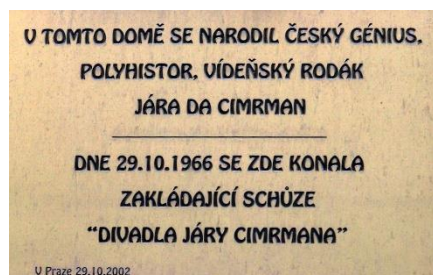


Znajomość Hulki-Laskowskiego i Cimrmana przetrwała Heidelberg. Czeskie korzenie Hulki-Laskowskiego spowodowały, że dzięki doskonałej znajomości języka tłumaczył utwory Czechów, na liście tłumaczonych autorów są m.in.: Karel Capek, Bożena Nemcowa, Jaroslav Haszek i Jára Cimrman. Obu łączy też ewangelickie pismo „Jednota. Gdy w 1921 wspólnie z żoną, Kazimierą Hulka-Laskowską, Paweł zaczął wydawać „Echo Żyrardowskie”, pierwszy telegram z gratulacjami wysłał Jára Cimrman. Chciał nawet zadzwonić do Hulki-Laskowskiego, ale jak później mówił, to by była już pewna przesada.

Po zakończeniu II wojny światowej Paweł Hulka-Laskowski, w celu poprawy zdrowia, przeniósł się na Śląsk Cieszyński. To właśnie tam mieszkał wtedy Jára Cimrman. Odwiedzali się i pisali do siebie listy. Ponoć najczęściej interesowały ich problemy filozoficzne. Wiele też pisali o zawiłościach języków polskiego i czeskiego. Przedstawienia opowiadające o życiu i dziele Cimrmana są w Czechach wystawiane od

ponad 40 lat w Žižkovskim Divadle Jára Cimrmana, czyli Teatrze na Žižkowie w Pradze. W 1983 roku został o nim nakręcony film „Jára Cimrman śpi”, a rok później film na podstawie jego sztuk, oraz film przedstawiający pracę Teatru Jára Cimrmana „Nejistá sezóna”. Obaj przeszli do legendy, choć o rozgłos nie dbali. Hulka-Laskowski znany też był z troski o losy miejscowej biedoty, sprawy społeczne były mu bliskie. Jára Cimrman także wiele myślał jak poprawić losy klasy robotniczej, ale pod koniec życia stwierdził, że „Stalin już tak poprawił ten los, że dalszego poprawiania klasa robotnicza mogłaby nie wytrzymać”. Jak widać poczucie humoru go nie opuszczało.

Losy Cimrmana są dosyć znane, ale jest jeszcze wiele do wyjaśnienia. Jego wkład w kulturę Czech jest znaczny. Losami przodka zajął się wnuk Jára Cimrmana, gromadzi pozostałe dokumenty, ale jest ich niedużo, gdyż Jára nie gromadził ich wcale. A ponieważ świadków naczynych już nie ma, losy wyjaśniane są powoli. Od czasu do czasu ktoś znajduje w rodzinnym archiwum list, czasem ktoś o nim wspomni w pamiętniku. Czesi niezwykle szanują każdą pozostałość po tym wybitnie nietypowym człowieku. Ilość upamiętnień wzrasta, każdy Czech zna to nazwisko. Hulka-Laskowski także obrotował się przed upływem czasu, a Żyrardów pamięta o jego dokonaniach. To co istnieje przepłata się z tym co nie istnieje. Tak powstaje nowa jakość – tak z pewnością by dzisiaj powiedział Jára Cimrman.



Nie inaczej było i z Járą Cimrmanem. Miał zapędy wynalazcy, znał Zeppelina, tego od sterowców, czy konstruktorów innych nietypowych obiektów. Z Hulka-Laskowskim łączyła go też miłość do literatury. Pisał dramaty, utwory muzyczne, obaj też częściowo byli Czechami, choć jak wiadomo w tamtych czasach w tej części Europy narodowości wymieszały się ogromnie. Żyrardów jest tego najlepszym przykładem, bo do dzisiaj mamy tu wielu potomków Czechów, Niemców, Żydów, a nawet Szkotów, Greków czy Holendrów.

Czeska Telewizja we współpracy z angielską BBC, w 2005 roku zorganizowała konkurs na



Eugeniusz Kurzawa

## Spis treści (24)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobacki

Ponieważ z czasem zaroilo się na półkach antykwarycznych od innych rzadkich książek, w końcu antykwariuszka puściła farbę. Że to poeta Sobkowiak. Jak ktoś mi zasugerował, Czesław z rodziną budował dom w Zawadzie i po prostu potrzebował pieniędzy. Tym sposobem zostałem sponsorem gniazda rodzinnego Czesława Sobkowiaka...

Nie pamiętam jednak Czesia z lat 70. z żadnych wspólnych imprez literackich, publikacji, spotkań. A na przykład Mietka Warszawskiego, owszem, widywałem np. na spotkaniach w ramach KKMP – Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Wynikało to chyba z prostej przyczyny, że Sobkowiak studiował polonistykę we Wrocławiu i tam spędzał czas na nauce, tam mieszkał, w domu zaś bywał podczas wakacji. Warszawski z kolei, który już wówczas pracował, po prostu pojawiał się w środowisku młodoliterackim, gdyż był „na miejscu” (choć precyzyjnie to „miejsce” oznacza jego małą ojczyznę – wieś Łaski Odrzańskie).

Gdy Czesiek wrócił do domu i szukał sobie miejsca w Zielonej Górze, mnie los rzucił na północny wschód kraju. Przemieszkalem, przepracowałem tam ponad jedenaście lat, choć z przerwami. Zatem mijaliśmy się, wiedząc o sobie. Dowodem choćby antologia poezji „Pieśń zostaje za nami”, którą do druku przygotował Sobkowiak, a ukazała się w 1991 r. kiedy to właściwie „siedziałem już na walizkach” i liczyłem przysłowiowe dni do przyjazdu do Zielonej Góry. Ale w kwestii opublikowania moich wierszy redaktor pisał do mnie jeszcze na wschód. Znalazłem jego list z 8 września 1991, w którym wyraźnie zaznacza, iż „pierwszy w życiu list, jaki do Ciebie piszę, piszę w sprawie bardzo ważnej”.

Nasze kontakty zacieśniły się, gdy zameldowałem się w pracy w „Gazecie Nowej”. Próbowałem na łamach poruszać m.in. sytuację życia literackiego na środkowym Nadodrzu wobec nowych wyzwań (przeprowadzona od-

górnie zmiana ustroju z socjalistycznego na kapitalistyczny). Zachęcałem Czesława do wypowiedzi, recenzji, publikacji. Coś napisał, ale niezbyt wiele razy jego nazwisko pojawiło się w „Gazecie Nowej”.

W tym też czasie – jak dla mnie pechowo – C. Sobkowiak wystąpił ze Związku Literatów Polskich i zapisał się do konkurencyjnego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Rzecz w tym, iż ZLP działa w Winnym Grodzie od 1961 r., ma tutaj swój oddział, członków, i realizuje różne pomysły. Wręcza Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza, organizuje debaty, konkursy literackie, wydaje książki. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich nie ma żadnych struktur i nie prowadzi żadnych działań. Czesiek znalazł się tym sposobem poza naturalnym środowiskiem pisarskim. Co nie znaczy, że nie jest zapraszany do udziału w wydarzeniach literackich i nie bywa na nich. Bywa, zabiera głos, wydaje książki, zdobywa nagrody, świętuje jubileusze. Ale przydałby się w ZLP ktoś taki – mający doświadczenie i znaczący dorobek – z głosem doradczym. Trudno, nie chciał...

A propos nagród. Gdzieś w 1993–94 roku Alfred Siatecki, jako ówczesny prezes oddziału ZLP, wymyślił Lubuski Wawrzyn Literacki. Miała to być nagroda za najlepszą książkę poetycką i prozatorską wydaną w regionie w roku poprzednim. Współorganizatorem wydarzenia została od początku biblioteka wojewódzka. Od zarania przyjęło się też, że będzie to główna, najbardziej prestiżowa nagroda dla literatów lubuskich. Znalazłem się w jury pierwszego Wawrzynu, wspólnie (chyba) z prof. Janem Kurowickim, Marią Wasik – dyrektorką biblioteki. A także kimś reprezentującym „Gazetę Lubuską”, Urząd Miejski i Marszałkowski. Niemal pewnikiem było – tak twierdził nie bez racji wybitny krytyk i poeta A. Waśkiewicz – że wszelkie laury literackie w regionie muszą przypaść Kurowickiemu, Warszawskiemu albo Sobkowiakowi. Bo piszą dzieła ponadprzeciętne, są najwybitniejsi. Tymczasem wyniki tajnych obrad jury pierwszego Wawrzynu okazały się zaskakujące. Wśród poetów wygrał nikomu w mieście nieznan autor – Krzysztof Fedorowicz. Kilka dni po ogłoszeniu wyników Czesław dopadł mnie na ulicy. Zdaje się, że nie mógł przeboleć tego Fedorowicza. – Ale jak to się stało? – dopytywał. – Jak rozłożyły się głosy? Wyłąłem się tajemnicą obrad, gdyż nie było sensu analizować na ulicy suwerennych w końcu decyzji jurorów i dzielić włos na czworo. Po latach trzeba przyznać, iż jury miało rację, nagradzając K. Fedorowicza. Do tej pory zdobył łącznie aż trzy Wawrzyny. Sobkowiak tyle samo.

Czesława Sobkowiaka, jako się już rzekło, cenili niezwykle Andrzej Waśkiewicz. Był dla niego przykładem naturalnego i prawdziwego awansu kulturalnego młodego człowieka z wiejskimi korzeniami. Znalazło to odbicie chociażby w debiutanckim tomie „W białej koszuli”, ale i w drodze życiowej poety. Ten naturalizm... Rozmawialiśmy wielokrotnie z Andrzejem o „Horacym z Zawady”, jak go nazwała Maria Wasik, i wręcz zazdrość mnie ogarniała, iż mój przyjaciel nie mnie chwali, tylko Czesława. Lecz siedziałem cicho, bo Andrzej był niezwykle obiektywny i bez powodu nie rzucił jakichkolwiek opinii. Jako autor Sobkowiak

dość często współpracował ze mną na łamach „Komunikatów (Nadodrzańskich)”, które parę lat redagowałem. Pisywał recenzje, ale szczególnie lubiłem drukować (i czytać w innych czasopismach też) jego miniatury prozatorskie. Mądre, refleksyjne, ciepłe, niekiedy gorzkie zapiski. Potrafił skupić się na źdźbale trawy, porannym widoku z okna, polnym kamieniu zauważonym podczas spaceru latem. Mam nadzieję, że tego gatunku nie porzuci, gdyż wydaje się na tym gruncie naprawdę znakomitym autorem.

Wiem, że Czesław ma ze mną problem. Czytam to między wierszami w niektórych jego recenzjach moich książek. Szanuje pomysły, inicjatywy, ale nie do końca potrafi się zgodzić z wymową tekstów, takich czy innych, z postawą. Rzekłbym, iż nawet go to męczy – na swój sposób. Ale cóż zrobić, jedni wybierają metafizykę, etykę, inni racjonalizm, materializm, i z tym muszą żyć...

Czesław Sobkowiak, urodził się 3 maja 1950 roku w Jaromierzu (gmina Siedlec) w Wielkopolsce. Poeta, prozaik, krytyk literacki. Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Wrocławskim. Mieszka w Zielonej Górze – Zawadzie.

## Zbigniew Jerzyna

Pewnego razu w latach 70. – dziwne, ale było to w niedzielę – na ul. Ordynackiej 9 w Warszawie, czyli w siedzibie SZSP, odbywała się dyskusja redakcyjna na temat pokolenia Nowej Prywatności, z udziałem przedstawicieli tejże generacji. Tekst rozmowy, czyli wypowiedzi młodych poetów, krytyków, miał się ukazać w znanym i popularnym tygodniku studenckim „ITD”. Spotkanie prowadzili Andrzej K. Waśkiewicz i Jerzy Leszin. Przyjechałem do stolicy wraz z młodą krytyczką, studentką zielonogórskiej polonistyki, chyba pisującą już do „Faktora”, Małgorzatą Kowalską. Wystraszoną nieco, gdyż pierwszy raz była na tak poważnej debacie. Zanim dyskusja się rozpoczęła, zanim goście umościли się na krzesłach, podano kawę i herbatę, Gosia nieśmiało, niemal na ucho, pytała mnie o nazwiska przybyłych. – A ten facet z czerwoną napuchniętą gębą, to kto? – zapytała w pewnym momencie. – Poeta Jerzyna! – odrzekłem cicho. – Jezus, Maria, to ten subtelny liryk?! – niemal wykrzyknęła. Zbyszek faktycznie wtedy za kołnierz nie wylewał, a dzień wcześniej widocznie nieźle popił. Wyglądał bardzo „wczorajszo”.

Później niemal regularnie widywaliśmy się w wielkim gmachu MAW-owskim przy al. Stanów Zjednoczonych 53 w Warszawie. Był początek lat 90., pracowałem tam w „Gazecie Młodych”, dojeżdżając do redakcji raz, dwa w tygodniu z Białegostoku (180 km). Zbyszek zaś miał zatrudnienie w redakcji debiutów poetyckich MAW, kierowanej przez Jurka Leszina. Dzieliły nas trzy lub cztery pietra ogromnego biurowca.

cdn.

# Andrzej Gnarowski

**Paryż 1944**

(w 80. rocznicę wkroczenia aliantów)

*Dni przyszłości stoją przed nami  
jak rząd świec gorejących*

Kawafis

Paryż wreszcie uwierzył w nieśmiertelność – bogów (zauroczonym krótkim ekstatycznym uniesieniem). Nawet Kłoszarda Chrystiana Lefebra ogarnął smutej mocny jak śmierć Opuszczając noclegownię w Departamencie Maine-et-Loire I oto nagle stanął nieruchomo na środku ulicy nieopodal Dworca kolejowego Gare du Nord. Chwila ta była wieczna Potknął się o worki z piaskiem leżące w szeregu jak o kamień W chwili kiedy przechodziła kobieta (ot jeszcze jeden przechodzień) W jego oczach odbił się surowy blask przyziemionego złota Jej gęstych włosów. Słyszał głosy śmiejące się krzyczące Zuchwałę wysokie i niskie. Jego wzrok zdawał się hipnotyzować I tak istota ludzka odnajdywała się w istnieniu nieskończonego Świata – w ciężarówkach załadowanych po brzegi kobietami dziećmi I pościelą. W oddali dudniły pociągi – Dramat jego życia miał w sobie coś z absurdałności tragedii Starożytnej – i tak oto historia się toczy

Tylko myśli wspinały się na pnie drzew jak dzikie koty Potem wracały do istniejących form życia. Do rzędów świec Gorejących. Do mauretańskich linii murów. Tylko Kłoszard Chrystian Lefebur w swojej niezziemskiej brzydocie jak Tersytyes Homera z kredowo-bładą twarzą. Z zębami wilka nieufnie spoglądał Na ptaków długie korowody. Na ich kołowy lot W uśmiechu Boga sam fakt istnienia czynił ich pięknymi

Latarnie gazowe migotały mętnie we mgłach ukryte Czas odmierzał przybój fal niewidocznej stąd rzeki Witraże w katedrze wyglądały jak szkiełka kalejdoskopu usypane Ze światła przez które słońce zabarwiało maskary na Pont-Neuf Na wieży Eiffla jeszcze powiewała flaga ze swastyką Jak przed defiladą na Polach Elizejskich

Oto Paryż w doświadczeniu wolności. Bez pocisków Przeciwnolotnych. Dni przyszłości rozświetla się jak oleandry Barwne. Wiosny z czereśniami. Jak popioły z ognia. Kiedyś powrócą Nad Sekwanę „Dwie kobiety biegnące po plaży” Picassa Jak po łące śniegu. Pale rzeki rozbiegną się i przemkną Jak karty wysuwane z talii. „Kurtyzany na Monparnas z Beaux-Arts jak na Olimp wjadą na rydwanach”

Całkowicie nie paryskie było milczenie kościelnych dzwonów Toteż Chrystian Lefebur nasłuchiwał narastającej frazy dźwięków Kryształicznie czystych i intensywnie uderzających jakby Rozdzielając się przemawiały synkopami. Powietrze pachniało Mirrą i kadzidłem. Nagle muzyka dzwonów zdławiła oddech Jak lodowaty wiatr. Ciężki a zarazem łagodny był ten pierwszy Dzwon. Wydobywał się z mikroświatów ciemności. Z szafirowej Muszli perłopłazu. Z ptakiem żałobnym jawiąc się pospołu:

Z Saint-Severin. Z Saint-Julien-le-Pauvre  
Z Saint-Germain-des-Pres. Z Sacre-Cour  
Z Saint-Sulpice. Z Saint-Gervais-Protais  
Z Saint-Eustache. Z Notre-Dame

Przed kolumnadą romańską eskorta czołgów Wychylali się z nich żołnierze w szerokich beretach Dziewczęta rzucały kwiaty – żołnierze osłaniali głowy Silnymi tarczami ramion – w chwili kiedy zapłonęła wieża Kościoła świętej Katarzyny. Chrystian Lefebur kłoszard

Z rozrzewnieniem pomyślał o butelce koniaku z emblematem Napoleona. Fizjologia bywa nieubłagana



## Małgorzata Anna Bobak-Końcowa

**Czerwone lakierki**

*mamie*

Historia zaczyna się od spaceru przez wieś przystańmy na chwilę by zobaczyć ulicę kościół pocztę remizę bar oraz kiosk można tu kupić bilet na PKS i spirytus salicylowy ale dziewczynka patrzy na lizaki w kształcie kogucików od nich usta robią się czerwone jak kwiaty dzikich róż rosną pod kościołem skrzynka do której dziadek wrzuci list i wóz strażacki co pędzi ulicą wtedy kury uciekają w głąb podwórek jeśli nie zdążą zalewa je czerwien pomadka na ustach ekspedientki zawsze wydaje się zbyt jaskrawa za resztę można kupić garść kruchych krówek Teraz wszyscy patrzą na czerwone lakierki ze stolicy idą razem przez wieś dziadek wiedział dużo o miłości i śmierci uczył ludzi milczenia i szacunku do ziemi zanim zaczął patrzeć na wszystko z pułapu gromowej skazy na niebie był dobrocią domy rozdzielał po wędrownice ze wschodu rządowym przykazem tak sprawiedliwie że zapomniał o sobie kiedy nie wracał długo z Warszawy dom trwał w milczeniu uparcie sikorki otwierały dziobami zbyt rześkie poranki jaskółki zamykały za długie wieczory ubywało wielkiej kuli na niebie Kiedy ma się cztery lata bociany wydają się większe psy za duże każda gaska do oswojenia a królik do przytulenia lecz kiedy wraca dziadek nic się nie liczy można tak iść i iść przez wieś aż minie pora obiadowa i wystygnie barszcz z ziemniakami Któregoś dnia dom na rok i dłużej zamilkł głośniejsz niż kiedykolwiek przedtem jaskółki zatrzasnęły drzwi stajni stał smutny koń nikogo nie trzeba było uczyć milczenia łyzy starych i młodych kobiet jednakowo wsiąkały po kątach Którejś długiej nocy zaskrzyiała stara szafa dziewczynka wyszła z niej z lalką i misiem budząc perlistym śmiechem całą rodzinę mówiono przy śniadaniu że dziadek wrócił i nikt nie ośmielił się wyjąć zabawek choć do urodzin było daleko Mówiono że ubecy wyrzucili dziadka przez okno pędzącego pociągu bo nie pozwalał na rozkradanie niemieckich grobów a może za to że był jasny jak gołąb który zagląda między pręty snów i plugawym uzmysławia jak bardzo są robaczywi chmury tak mają nadchodzą rozkładają skrzydła nad szczęśliwym życiem zamarza nawet piekło Tylko że teraz wszyscy patrzą na czerwone lakierki ze stolicy idą razem przez wieś

## Juliusz Wątroba

\* \* \*

Chowam pomysły na zapas  
Zamykam je szczelnie  
w słoiku głowy  
jak owoce pełne witamin  
na zimę  
Będę je smakował  
gdy zziębnięte słońce  
i błady księżyc  
poproszą o ciepło i światło

\* \* \*

Świat się obejdzie beze mnie  
bez myśli poplątanych  
miłości niespełnionych  
życia nie do życia  
Świat się obejdzie beze mnie  
Ja obejdę świat na palcach  
bezszelestnie jak kot  
nie zostawiając śladów po sobie  
Zgaśnie tylko jedna gwiazda  
której nieobecności  
nikt nie zauważy

\* \* \*

Przychodzę na cmentarz  
już na swój grób  
Zapalam na próbę znicze  
modłę się za siebie  
by oswoić śmierć  
jak dziką kotkę  
choć życie  
jeszcze się uśmiecha  
przepraszając  
że tak krótko trwa  
ale obiecuje się poprawić  
i przemienić  
w życie wieczne

\* \* \*

Po obu stronach życia  
czas przysiadł  
u nogi Boga  
wiernym psem  
A ja?  
Jak pchła  
co chce kąsać  
by mnie nie zapomniał  
i poświęcił mi choć chwilę  
– to tyle

\* \* \*

Już wierzba płacząca  
nie zapłacze  
Mewa śmieszka  
się nie zaśmieje

Tu już wszystko  
wygląda inaczej  
– pusto ciszą  
krwawiącą zielonością

## Irena Tetlak

### aura prawie świąteczna

odkryłam że lubię być ze sobą  
nie męczy mnie i wcale  
nie nudzi własne towarzystwo

śnieg przykrywa szarość ulic  
dachy domów  
połyskują gwiazdozbiory okien

a światło we mnie  
przenika prosto w codzienność  
rozbudza nostalgię

czuje się klimat rodzinnego ciepła  
i potrzebę zwykłego przytulenia  
a śnieg niech nam nadal prószy

łagodzi złe emocje

### geometria porozumienia

światy równoległe tną prostopadle  
przecinają uśmiech jak zbite lustro  
dają ostro po pysku

nerwy trzaskają jak postronki

porozumienie wymaga rozmowy  
jednym językiem lecz czasem  
więź pęka

krew tak łatwo opuszcza naczynia  
dobre intencje kaleczą jak kamienie

a przecież wystarczyłoby powiedzieć  
rozumiem zajmę się tym

### oczekując cudów

jestes dorosłym człowiekiem  
a jednak nie korzystasz  
z podpowiedzi rozumu i serca

strach walka ucieczka wymuszają  
działania ekstremalne

zaskakujące cudowne reakcje  
niemal jakbyś był w raj  
nagle dostrzegasz prawdziwe wariacje

możesz rozprawiać bez przenośni  
przerzutni bez ogródek i granic  
o wszystkim o tym co jeszcze boli

to właśnie jest cud codzienności  
gdy ból minie  
a długotrwały mija powoli

gdy zmienisz nastawienie  
powrócisz do fantazji do Lema  
i przekonasz się że nie ma cudów

gdy odkryjesz siebie

## dziewczyna z sąsiedztwa

nie uśmiecha się w poniedziałki  
we wtorek robi zakupy na bazarze  
czasami środek tygodnia poświęca  
na same przyjemności  
idzie do kina lub teatru  
miesza sałatę z owocami morza  
kupuje nową sukienkę  
w czwartki biega z pomocą do ludzi  
lub czyta w hospicjum wiersze  
jakieś spotkanie autorskie  
dla niej przecież nie pierwsze  
piątki gdy nie zachowuje postów  
wypiera jak grzechy  
nie wszyscy wiedzą o co chodzi  
nie zmienia to jej podejścia  
do soboty kiedy sprząta mieszkanie  
i cieszy się gdy błyszczą szyby  
w niedzielę rano nastawia rosół  
niech tak sobie pyrka

wieczorem leci na miasto  
nareszcie spotka się z przyjaciółmi  
wypiją kilka drinków

### Casablanca

zastanawiam się nad dalszym rejsem  
zakotwiczyłam się blisko  
na ponad ćwierć wieku

w miejscu które wybrałam i Kocham tak  
że nawet wyjazd kilka kilometrów dalej  
wydaje mi się zdradą

nagle niebo stało się niespokojne  
spada złotówka i złoto  
race płoną nie czekając na odpalenie

wygaszam w końcu uczucia i rozważam  
a może już czas może tak trzeba

tym razem

nie chcę grać przecież roli w melodramacie  
tym bardziej w Casablance

choć w dzieciństwie chciałam być aktorką  
gdzie miałabym wyemigrować – wciąż nie  
wiem

### inteligentna choć sztuczna

jeśli masz mnie zastąpić  
weź mój ból i cierpienie

skoro masz być lepszą wersją  
nie możesz być słabsza

bądź utalentowana  
ale nie fanatyczna

zostaw mi wolną wolę w spokoju

wtedy przyjmę cię bez wahania  
i dam się ponieść w lepszą przyszłość

Dariusz Pawlicki

# O przemieszczaniu się na własnych nogach & świata poznawaniu

*Co jest pod nogami, na to nikt nie patrzy;  
śledzą okolice nieba.*

Marcus Tullius Ciceron

Nie pamiętam dokładnie poglądu wyrażonego przez Edwarda Stachurę na temat najlepszego sposobu na przyglądanie się światu, poznawanie jego. Ale myśl w nim zawarta była taka, że najlepiej jest to czynić, po pierwsze, wędrując, a po drugie, winno się to odbywać boso.

Zgadzam się ze Stachurą, że wędrowanie jest o niebo lepszym sposobem na to, niż jazda pociągiem, autobusem bądź samochodem osobowym; szczególnie wtedy, gdy jest się maszynistą, albo kierowcą. A o dwa nieba – od lotu samolotem. Nie mam, co do tego żadnych wątpliwości. Nie mam ich również, jeśli chodzi o pokonywanie odległości konno czy na rowerze. W porównaniu z dwoma ostatnimi przypadkami, wędrowiec także będzie tym, który więcej dowie się o miejscach przemierzanych. To, że jeździec lub rowerzysta, nie wspominając o osobach przemieszczających się pojazdami mechanicznymi różnych rodzajów, przemierzy w tym samym czasie zdecydowanie dłuższą trasę niż piechur, jest bez znaczenia, jeśli brać pod uwagę efekty „przyglądania się światu” (będzie o tym jeszcze mowa). Lecz turysta siedzący w siodle bądź na siodełku zobaczy nieporównanie więcej niż wtedy, gdy za oknami będzie widzieć jedynie poszczególne elementy krajobrazu, zresztą szybko znikające z pola widzenia. Gdy będzie pędził w jakimś pojeździe dwuśladowym to, co zapamięta ograniczy się do tych składników mijanej okolicy, które będą najokazalsze. Przyglądnięcie się innym, czyli tym tak naprawdę dominującym, bo najcharakterystyczniejszym, po prostu nie będzie możliwe. Tak, jak umknie uwadze wszystko to, do czego odnotowania potrzebne są inne zmysły. Obrazy utrwalone w czasie lotu samolotem, jeśli chodzi o świat rozpościerający się za oknami, są żałośnie ubogie: nocne niebo usiane bądź nie gwiazdami, plus księżyc; dzienne niebo upstrzone chmurami lub bezchmurne; do tego zarysy lądów w dole, albo warstwa chmur przesłaniających je. To znaczy wszystko to, co poza konturami wysp, bądź kontynentów, i tak dane jest obserwować piechurowi, jeźdźcowi, rowerzyście, pasażerowi pociągu, autobusu, samochodu osobowego. To że chmury będą oni zawsze obserwować z dołu, a nie z góry, jest mało istotne.

Długie loty długo były mało popularne. I to nie tylko ze względu na ich cenę, ale chyba też ze względu na istotny problem: czym zająć się w podróży, gdy nie ma, dosłownie, na co

patrzeć za oknem? Bo jak długo można spać (zresztą wielu nie może spać w czasie podróży, szczególnie podniebnej), czytać książki, oglądać kolorowe czasopisma, rozmawiać (jeśli w ogóle jest ktoś siedzący obok, chętny do konwersacji). Możliwość indywidualnego odtwarzania muzyki i słuchania radia, a przede wszystkim oglądania filmów na pokładzie samolotu, spowodowała (obok obniżenia cen przez przewoźników), że znacznie więcej osób zaczęło odbywać długie loty. I to nie tylko ponad jednym oceanem, z jednego kontynentu na drugi.

Pokonując odległości pieszo, ma się o wiele więcej okazji do wpadania w zachwyt, niż gdy korzysta się ze środków transportu. Chyba że jest się jedną z tych osób, u których podziw mogą wywołać jedynie wielkie obiekty, do tego sławne, jak chociażby Wieża Eiffla, Wielki Kanion rzeki Kolorado, Bazylika św. Piotra. A które pogardliwym prychnięciem skwitują mijany łań zboża. Uznają to bowiem za coś banalnego, codziennego, niewartego choćby chwili uwagi, zastanowienia, refleksji. Tak, dla takich osób czas poświęcony obiektom wspomnianego rodzaju, zawsze będzie czasem straconym.

W dzienniku *Z podróży sakwy* Matsuo Bashō, mistrz klasycznego haiku, na temat wędrowania wyraził się następująco:

„Przedkładał marsz spokojny nad jazdę powozem [...]. Mogę zatrzymać się w drodze tam, gdzie zapragnę i kiedy chcę – odejść [...]” (*Z podróży sakwy*, Warszawa 1994).

Na temat skłonności do wędrowania Bashō (można o nim wręcz mówić: włóczyki) Mikołaj Melanowicz napisał:

„Za przykładem swych mistrzów, poetów chińskich: Li Po i Tu Fu oraz japońskich: Saigyō i Sōgi dużo czasu poświęcił wędrownikom po kraju – obserwacje z podróży notował w postaci szkiców prozą i strof poetyckich haiku” (*Haiku*, wstęp M. Melanowicz; Wrocław 1983).

Henry D. Thoreau, autor niezmiennie skłaniającego mnie do przemyśleń *Waldenu*, czyli *życia w lesie*, również był za przemieszczaniem się na własnych nogach. W jego przypadku, argumentem za tym, aby tak czynić, obok czerpania przyjemności z samego wędrowania, były finanse. Aby odbyć podróż jakimś środkiem lokomocji, trzeba bowiem ileś godzin przepracować. Natomiast Thoreau uważał, że zamiast przystępować do pracy, lepiej od razu wyruszyć pieszo. Może wówczas okazać się, że wędrowiec przybędzie do celu

wcześniej, niż ten, który będzie podróżował pociągami, albo dylizansem (w naszych czasach – samochodem, pociągiem). Dlatego w *Waldenu* znajduje się poniższe zdanie:

„Przekonałem się, że najszybciej podróżuje się pieszo” (*Walden czyli życie w lesie*, Warszawa 1991).

Deklarując na samym wstępie, że zgadzam się ze zdaniem Edwarda Stachury, natychmiast poczyniłem zastrzeżenie, że o „przyglądaniu się światu” będzie jeszcze mowa. Nie chciałem bowiem nazbyt szybko zdradzić na czym, moim zdaniem, owo przyglądanie się winno polegać. Teraz jednak przyszła pora na rozpisanie się na temat pozytywnych stron wędrowania połączonego z poznawaniem otoczenia. A będzie ono najlepszym na to sposobem, gdy będzie urozmaicone, mającymi miejsce, co pewien czas, postojami. Ich częstotliwość i długość winna zależać od nasycenia otoczenia szczegółami budzącymi zainteresowanie wędrowców. Można w tej sytuacji mówić wręcz o wędrujących obserwatorach.



Fot. Dariusz Pawlicki

Rzecz jasna dla dokonania krótkotrwałej obserwacji, wystarczy przystanąć. Jednak jeśli będzie dłuższa, dobrze jest usiąść. I najlepiej, gdy będzie to połączone z wygodą. Wyrażę w tym miejscu pogląd, że dobre warunki towarzyszące obserwowaniu, są ze wszech miar wskazane, a nawet pożądane; niezależnie od tego czy się stoi, czy siedzi. Wówczas to, nie będąc rozpraszanym przez efekty wynikające



ze sztywnienia mięśni nóg bądź pośladdocków, można uważnie przypatrywać się dookolnemu krajobrazowi. Dzięki temu stanie się możliwe, po pewnym czasie, wyłuskanie z otoczenia poszczególnych szczegółów, dotąd niewyodrębnionych, chociażby rzędu odległych drzew mogących sygnalizować obecność rzeki, a także jej przebieg. Dalszym krokiem może będzie podjęcie próby określenia, jakiego gatunku są to drzewa. Istnieje w takiej sytuacji także możliwość rozłożenia planu bądź mapy dla rozstrzygnięcia pojawiających się wątpliwości czy drzewa te, aby na pewno rosną nad rzeką, a nie wzdłuż drogi.

Niewątpliwą zaletą takiego sposobu przyglądania się, łączącego wędrowanie z – że tak powiem – przesiadywaniem, jest to, iż bezproblemowo łączy on prowadzenie obserwacji z odpoczynkiem. Choć kryje się w tym sposobie pewne niebezpieczeństwo: od któregoś „posiedzenia”, niektórzy wędrowcy mogą mieć narastające problemy ze wstawaniem i ruszaniem w dalszą drogę. Ale być może dzięki temu ich obserwacje będą jeszcze bardziej szczegółowe; dokonane już nie w makro-, ale w mikroskali. Przedmiotem takich pogłębionych dociekań obserwacyjnych mogą stać się np. małe ptaki (nie tylko, na przykład, okazałe myszołowy krążące nad polami) i owady. Przyglądanie się im zostanie wzbogacone przez efekty dźwiękowe w postaci zróżnicowanych treli skrzydlatych śpiewaków, jak i rozmaitych dźwięków wydawanych przez owady: cykań, bzykań, brzęczeń, buczeń itd. Siedząc, podobnie zresztą jak idąc (podczas jazdy każdym mechanicznym środkiem transportu, będzie to ograniczone), ma się także bezpośredni kontakt z zapachami: zarówno tymi naturalnymi jak i będącymi efektem działalności człowieka. I będą to zapachy miejsc, przez które akurat będzie się szło, jak i te przyniesione przez wiatr. One zaś, uzupełniając wzrokowe i dźwiękowe spostrzeżenia, złożą się na, w miarę, pełny obraz konkretnego punktu na Ziemi; w miarę, gdyż nigdy nie będzie on kompletny. Ów obraz wędrowiec „poniesie” dalej. Niewątpliwie trwałość takiego wspomnienia z wędrowki, będzie zależała, choć nie tylko, od ilości i wnikliwości poczynionych spostrzeżeń. Lecz najczęściej będzie tak, iż przesłonią je te późniejsze. I to tylko dlatego, że będą świeższe.

Nie twierdzą jednak, ani mi to w głowie, że przerwy przeznaczone na siedzenie, winny być wyłącznie poświęcone odkrywaniu, dostrzeganiu itd. Bo czyż nie warto tego czasu również przeznaczyć na, po prostu, przyglądanie się pięknemu otoczeniu: wzgórzom zwieńczonym grupkami drzew, piaszczystym drogom wijącym się wśród pól, ścianie starego lasu itd. To delectowanie się pięknem okolicy, może zawierać w sobie coś, co jak najbardziej jest wskazane: uczucie przyjemności doznawane z powodu tego, że jest się teraz i tu. Byłoby zresztą idealnym rozwiązaniem, gdyby zadowolenie towarzyszyło nie tylko obserwacji, ale i wędrowaniu. Przyglądanie się niech jednak nie trwa długo. W przeciwnym bowiem razie przejdzie niezauważenie w gapienie się, czyli niedostrzeganie, tak naprawdę niczego.

W tym miejscu przytoczę wypowiedź Wojciecha Dudzika:

„Widok to nie to samo, co pejzaż albo krajobraz, chociaż często jest z nimi mylnie utożsamiany. Pejzaż albo krajobraz istnieje, żeby tak powiedzieć, obiektywnie: po prostu jest niczym obraz. Dlatego można go namalować albo sfotografować i tak utrwalony powiesić na ścianie. Widok zaś trzeba widzieć, zobaczyć, przyglądać mu się przez chwilę, zapamiętać, odczuć. Widok – tak jak teatr, jak widowisko – stwarza dopiero oczy odbiorcy; nie istnieje dopóty, dopóki go ktoś nie zobaczy. I odwrotnie: ginie, gdy odwrócimy wzrok. Widok to dzieło człowieka. Sfotografowany ma zaś tyle samo wspólnego z owym dziełem, co fotos teatralny z przedstawieniem” („Schöne Aussichten”. *Wstęp do antropologii widoku*. Twórczość, 6/2005).

\*\*\*

Teraz z kolei nadeszła pora, aby ustosunkować się do drugiego punktu, przytoczonej przeze mnie z pamięci, wypowiedzi E. Stachury. To znaczy do, wnioskowanego przez niego, odbywania wędrowek boso. Autor *Siekierezady* tak czynił. Może nie stale i nie na długich dystansach, ale nie były to wyjątkowe zdarzenia.

Idąc bez obuwia dozna się niewątpliwie dodatkowych wrażeń. Lecz nie chodzi o te, których doświadczy każdy nienawykły do chodzenia bez obuwia. Wrażliwe, wręcz „przewrażliwione” stopy, wymogą bowiem na sobie uwagę, która zdominuje wszystko inne. Natomiast jeśli rzecz będzie dotyczyła zaprawionego bosonogiego piechura, to we wspomnieniu z odbytej wędrowki, wpłatać on będzie informacje np. o temperaturze podłoża, po którym szedł, jego fakturze, jak i wrażenia z przechodzenia przez bagno, albo rżysko. A propos rżyska, to nie wyobrażam sobie odbycia po nim choćby krótkotrwałego spaceru, bez kilkakrotnych (minimum) treningów, które uczyniłyby spody stóp nieco bardziej zaprawionymi do znoszenia takich niewygód. Jest jednak poważna przeszkoda w chodzeniu obecnie bez obuwia, przynajmniej w naszej części Świata, gdzie jeszcze niedawno nie należało do rzadkości używanie butów jedynie zimą, albo podczas wizyty w kościele. Edward Stachura, zmarły w 1979 r., miał jeszcze to szczęście, że żył w epoce (nie tak znowu odległej), gdy przemierzanie boso dróg, nawet tych głównych, nie wspominając już o polnych i leśnych, nie wiązało się z rychłym pokaleczeniem najpierw jednej bądź równocześnie obu stóp. Od czasu, gdy on wędrował w ten sposób ostatni raz, proces pokrycia naszego otoczenia odłamkami szklanymi i metalowymi, rozmaitej wielkości, przybrał katastrofalne rozmiary. I nadal postępuje.

\*\*\*

Wędrowanie kojarzy się, chyba w powszechnym odczuciu, z przemierzaniem pól, łąk, lasów. Choć przejście przez wieś bądź wsie, może stanowić pożądany składnik takiej wędrowki. I to nie tylko ze względów apro-

wizacyjnych. Nie można bowiem wykluczyć i tego, że taka wizyta zostanie spożytkowana na przyglądnięcie się wiejskiemu życiu.

Na trasie wędrowki może pojawić się też miasteczko, albo małe miasto (powiedzmy, takie do sześćdziesięciu tysięcy mieszkańców). Większe, nie wspominając o aglomeracji, może stanowić, ale sam w sobie, cel wędrowki. Z tym, że w wypadku terenów miejskich, poruszanie się bez obuwia będzie jeszcze mniej prawdopodobne. I to nie tylko ze względu na zwielokrotnione niebezpieczeństwo zranienia stóp, ale także na zwyczajnie panujące w mieście, gdzie boso nie chodzi się (nie inaczej, zresztą było za życia E. Stachury).

\*\*\*

W tym miejscu nieco odbiegę od głównego tematu niniejszego eseju, którym – przypomnę – jest pochwała wędrowania przerywanego, następującymi w zależności od potrzeb, „posiedzeniami” dla spokojnego przyjrzenia się otoczeniu. A odbiegę od owego tematu dla zwrócenia uwagi na...

Żyjemy w czasach, gdy jednym z podstawowych elementów wyposażenia osób podróżujących, nie tylko tych udających się na urlop, jest odpowiedni przewodnik. Bardzo prawdopodobne jest, że, przykładowo, biznesmen amerykański udający się w interesach na dzień do Holandii, wrzuci do torby opasy, ale zgrabnego formatu przewodnik zatytułowany *Amsterdam*. Bo a nuż, między jednym a drugim spotkaniem biznesowym, znajdzie pół godziny i zajrzy do Rijksmuseum, aby obejrzeć kolekcję obrazów Rembrandta. A o tej ekspozycji dowiedział się z ostatniego weekendowego wydania „The New York Timesa”.

Adam Zagajewski w szkicu *Koniec wakacji* na powyższy temat pisze zabawnie o „[...] popularnych przewodnikach, z którymi turyści [...], kroczą przez Europę jak ślepcy z laską [...]”.

Trafne jest to porównanie turysty z przewodnikiem w garści do niewidomego wyposażonego w laskę. Bo czyż korzystanie z encyklopedycznych wręcz informacji, nie jest rodzajem ślepoty – niepatrzeniem, niedostrzeganiem tych elementów, które nie doznały swoistej nobilitacji w postaci odnotowania w książkach przebogato ilustrowanych (i nie tylko w nich). Zresztą kontakt z jakimś obiektem, nieważne czy wspomnianym w przewodnikach, czy też nie, gdy już do niego dochodzi, bardzo często sprowadza się tylko do popatrzenia na niego. Nie ma to jednak, jak zostało już zaznaczone, nic wspólnego z widzeniem. To znaczy z indywidualnym przeżyciem spotkania, którym może być, a jakże, „spotkanie” z budynkiem. Uczestnicy wycieczek zbiorowych, na takie przeżycia nie mają szans. Tak jak i ci indywidualni turyści reprezentujący typ „ślepa z laską” - na „patrzenie”, gdyż czeka następny obiekt znajdujący się w wykazie *Cuda Świata*. Jest on tak ważny, że należy go koniecznie „zaliczyć”, aby potem móc o nim wspomnieć w towarzystwie. Tymczasem już

(Dokończenie na stronie 10)

# O przemieszczaniu się na własnych nogach & świata poznawaniu

(Dokończenie ze strony 9)

kilka wieków temu Claudio Monteverdi zauważył (wprawdzie na myśli miał przede wszystkim komponowanie utworów muzycznych), że „szybko i dobrze niezbyt pasują do siebie”.

O tej sprawie wspomina też w *Drodze do Sieny* Marek Zagańczyk. Czyny to przy okazji rozważań na temat piękna, którego poszukiwanie towarzyszy przyglądaniu się Światu. A pisze o tym m. in., że ono „nie znosi pośpiechu, omija umysły zmęczone [...]. Rozczarowanie i znużenie spada najczęściej na niecierpliwych wędrowców”. Dodaje też, iż „dobrze jest przynajmniej na chwilę porzucić kłopoty, zwolnić codzienny rytm, szukać skupienia” (*Droga do Sieny*, Warszawa 2005).



Fot. Dariusz Pawlicki

Tłumy nosiciele przewodników, poruszających się w szybkim tempie, pomijają wszystko to, co znajduje się pomiędzy obiektami „jak najbardziej godnymi uwagi”. A owo „wszystko” jest równie ważne, gdyż współtworzy charakter, klimat jakiegoś miasta, jakiejś krainy. To zupełnie tak, jak ktoś, kto spędził dwa tygodnie, przykładowo, na Seszelach, a dokładnie - na zalanej słońcem plaży rozciągającej się tuż obok hotelu. Po powrocie do miejsca zamieszkania, w jego wspomnieniach zostanie tylko plaża (nasłonecznienie i rodzaj piasku) i hotel (wyposażenie i poziom obsługi). Bo o innych wrażeniach, w takiej sytuacji nie może być mowy; już dawno zauważono, że z pustego i Salomon nie naleje.

\*\*\*

Poznanie Świata na własnych nogach, urozmaicone przyglądaniem się jemu na siedząco, może też polegać na zaznajamianiu się, ale gruntownym, z miejscem, które... zamieszkuje się (owo miejsce też jest Światem). Ten sposób nie jest obecnie w modzie.

Doskonałym przykładem takiego właśnie podejścia do sprawy, jest przywoływany już w tym tekście H. D. Thoreau, który na wspomniany temat napisał:

„Podróżowałem po Concord” (za jego życia miasteczko, nie liczyło nawet dwóch tysięcy mieszkańców). W ten lapidarny sposób wyraził brak potrzeby poznawania odległych krain, ich zaliczania. A to w przypadku bardzo wielu ludzi, żyjących na przełomie XX i XXI wieku, stało się wręcz koniecznością. Czego skutkiem po pewnym czasie jest zlewianie się w jeden obraz wielu wspomnień.

Najpewniej gdyby Thoreau pojawił się ponownie na Ziemi, i to teraz, także nie czułby wspomnianej potrzeby. Poznanie Świata w przypadku owego transcendentalisty przybrało diametralnie inną postać. Było to zaznajamianie się, niemal, metr po metrze z rodzinną miejscowością i jej otoczeniem: z mieszkańcami, farmami, drzewami, jeziorami (nie tylko ze sławnym później Waldenem), śladami po dawnych domostwach, opisywanie ścieżek i dróg, wspomnianie zdarzeń z bliższej i dalszej przeszłości, obserwowanie zmian w przyrodzie... A wszystkie te elementy pojawiały się potem na stronach jego esejów. Tego typu poznanie jest niespieszne, rozłożone na wiele lat. Dlatego jest gruntowne. I może następować w ramach normalnych, codziennych zajęć. Nie trzeba nań urlopów. O mającym często miejsce nie zauważaniu tego, co ma się pod przysłowiowym nosem, wspomina Edward Estlin Cummings w wierszu bez tytułu:

*jeśli szukasz prawd*

*nie wkraczaj na trakt  
trakty wiodą ku*

*a prawda jest tu*

(Tłum. Stanisław Barańczak)

Takie zaznajamianie się ze Światem dosłownie najbliższym, reprezentuje także Charles Reznikoff. Ów poeta, przez zdecydowaną większość życia związany z Nowym Jorkiem (przede wszystkim z Manhattanem), codziennie odbywał po nim kilkukilometrowe spacerki. I to w czasie ich trwania powstała większość jego prostych, bardzo charakterystycznych wierszy. A jeśli nie one same, to pomysły na nie. Poniższy jest tego przykładem:

*[Wokół rozkopów]*

*Wokół rozkopów  
przysiadła chmara jasnoczerwonych  
lamp.*

(Tłum. Piotr Sommer)

Gdy Charles Reznikoff zaczął cieszyć się pewnym uznaniem, rząd Izraela zaprosił go do odwiedzenia ojczyzny jego przodków. Poeta z zaproszenia jednak nie skorzystał. Władzom izraelskim podobno odpowiedział, że to dlatego, iż jeszcze nie dość dobrze poznał Central Park. Jeśli miałyby to być tylko anegdota, to został w niej trafnie oddany stosunek Reznikoffa do ukochanego miasta. I mimo, że był poetyckim kronikarzem nowojorskiego, miejskiego życia, wiele go łączy z żyjącym trzy wieki wcześniej, wspomnianym Matsuo Bashō. Obaj byli wędrującymi (dosłownie) poetami, tyle że jeden poruszał się ulicami, a drugi polnymi i leśnymi drogami bądź ścieżkami.

\*\*\*

To, co wyniesiemy z pieszej wycieczki, załżeć będzie w znacznej mierze od naszej spostrzegawczości i, w tym samym stopniu, wrażliwości. Ważną w tym rolę odegra także nasza wiedza, zainteresowania. Bo przeciwie obserwacje poczynione z tego samego punktu w terenie, i w tym samym czasie, będą z pewnością różniły się, w zależności od tego, kto ich dokona. Czy będzie to artysta malarz, historyk zajmujący się dziejami przemysłu czy robotnik budowlany. Najprawdopodobniej każdy z nich dostrzeże coś, na co drugi nie zwróci uwagi, jedynie muśnię wzrokiem. A jeśli nawet jego uwaga skupi się na nim na dłużej, to i tak jej owocem nie stanie się jakaś refleksja. I chyba to właśnie miał na myśli poeta i eseista Czesław Miłosz pisząc:

„Jaki jesteś, tak i widzisz;”, a co malarz Władysław Strzemiński wyraził zwięźle: „Widzimy to, co wiemy”.

Malarz, rysownik i grafik Andrzej Strumiłło, uczeń tegoż Strzemińskiego, podsumował to równie lakonicznie:

„Tyle słyszymy, ile mamy w sobie”.

**Dariusz Pawlicki**



Rys. Stefan Rusin

## O świecie, który przeminął

Jaś urodził się jako czwarty, żywy syn swych rodziców, a poprzedni bracia zaraz po urodzeniu zmarli. Świat zobaczył w listopadzie 1949 roku ok. 4.50 rano i przyszedł nań poprzez „cesarskie cięcie”. Ważył prawie 6 kilogramów. Nauczył się chodzić rok później, choć w wieku 8 miesięcy powtarzał bez zrozumienia zasłyszane wypowiedzi rodziców i sąsiadów piękną polszczyzną. Najczęstszą partnerką jego zabaw była długowłosa, ruda suka o imieniu Lotta, której często dokuczał ciągnąc ją za uszy i ogon, ale nigdy go nie ugryzła, znosząc z pokorą jego dokuczliwe pieszczoty. Nie pozwalała także obcym ludziom dotykać Jasia, i można powiedzieć, że była jego czworonożną piastunką. Kiedy pierwszy raz ojciec wziął go na targ do pobliskiego miasteczka – Starego Sącza – jadąc furmanką, oglądał wielkie plakaty człowieka uśmiechniętego z wąsami, przyklejane na drewnianych tablicach ogłoszeń, bramach domów i ścianach. Na pytanie: kto to jest?, ojciec odpowiedział mu, że to wódz narodów wspólnoty socjalistycznej – towarzysz Generalissimus Stalin! W oczach ojca zauważył jednak kpiarski uśmiech. Ojciec dodał, że to jest „kult jednostki” i nie należy nikomu o nim nie złego mówić. Sąsiedzi mogą donieść na taką rodzinę do władz i tata może być zabrany z domu i aresztowany. A u nas w wychodku są gazety z jego portretami – powiedział Jaś, pełniące funkcje papieru toaletowego. Tata odpowiedział, że obecnie go się nie produkuje, bo to towar burżuazyjny, niedostępny przeciętnemu obywatelowi. A o tym, że takimi gazetami podciera się zadki – też nie można mówić nikomu. Po dokonaniu zakupów i handlu większymi produktami, wszyscy jechali milcząc do domu. Na gościńcu było słychać turkot furmanek i klekot koński kopyt. Jaś, mama i tata milczeli do samego domu.

Po południu zaczęło mocno padać. Deszcz i błoto są najlepszą zabawą prowadzącą do zrozumienia mechanizmów rządzących światem. Wystarczy, że z rynien leją się strumienie wody na podwórko, z który powstałe rzeka i pędzi w kierunku zarośli, mijając po drodze suchy piach zebrany pod wozownią. Potem zebrany strumyk płynie dalej rwiście byłym korytem, w poprzek którego można zbudować zapórę i umieścić w niej prymitywne koło młyńskie. Przednia zabawa jest już pewna, bo kręci się i można nim regulować szybkość przepływu wody przez łopaty koła, by nadać tępo spływowi kolejnych partylek wody. Wkoło robi się błotko, z którego można budować różne ulepszenia tej zapory, np. tamki, które modelują przebieg głównego nurtu tak powstałej okresowo rzeczka. To miejsce jest wymarzone do zabawy dla trój-letniego chłopca, który nie ma ciekawych zabawek, a jedynie konika drewnianego wystrugane przez ojca. Zawsze problem jest ze spodniami! Konik może poczekać, bo zmoczony w wodzie i wybazgrany błotem budzi odruch obrzy-

żenia. Dopiero jak zaświeci słońce, osuszy plac, można będzie komika i spodnie zanieść na suchy piasek, tam obstarwić i zaprzęgnąć do naprędce skonstruowanego wozu z gałęzi i klocków z drzewa, zaś spodnie naciągnąć na pupę. Można więc zakrzyknąć: wio koniku, wio! I namiastka powożenia jest już gotowa. Można dalej budować drogę dla zaprzęgu, a po krótkim odpoczynku przenieść cały zaprzęg o metr dalej i tak kilka razy, by na końcu drogi trafić na plac targowy. Tam leżą kamyczki, liście, patyczki, które można potraktować jako towary i wyładować nimi furmankę, nawrócić, ale i wracać z powrotem do domu. Po przyjeździe można rozładować je w szybko skonstruowanej szopie. Kiedy się już to zrobi i dalsza zabawa staje się mało atrakcyjna, bo czuje się głód i żołądek przylega do kręgosłupa, trzeba pobeć do polowej kuchni: do mamy po kawałek chleba z masłem i kubek mleka. Jeśli mleka nie ma, bo w blaszanej wiórowce zostało spuszczone do studni, mama serwuje chleb ze smalcem i kubek gorącej, słodkiej herbaty. Po zaspokojeniu głodu czas na namysł: co by dalej robić?

W pobliskich chałupach, najczęściej pod strzechą, były obory ze stanowiskami dla konia, krów, owiec i kóz, a przy nich budowano gnojowniki, do których wyrzucano gnój od bydła. Po obfitym deszczu gnój pływał jak wyspa, a obok niego deska po której na taczkach go wywożono. Trudno było małemu chłopcu nie skorzystać z okazji, by nie popuszczać sobie tratw na tym bajorze gnojówki. Niestety ciągle moczył krótkie spodnie i przybiegał do domu, by wziąć następne, a mokre wrzucał do ogródka z kwiatami przy domu. Kiedy mama zauważyła brak spodni wczoraj wypranych, dzisiaj już zmoczonych w gnojówce, wymierzała karę patykami po nogach i pupie. Samo bicie i ból nie były straszne, ale kazania moralne mamy obwiniającego chłopca za wszystkie możliwe grzechy tego świata. Budził się w nim ból psychiczny i świadomość, że się nie umie poprawić w swoich zachowaniach. Niestety – ten stan ducha szybko mijał i syn znów robił to, co poprzednio. I tak upływały kolejne dni wiosny i lata. Zaś jak rodzice wyjeżdżali na targ do miasta i zamykali go w domu na klucz, umiał sobie jednak otworzyć okno i przywołać starszego kolegę z sąsiedztwa, który przystawiał mu drobinę, by opuścił to chwilowe więzienie. I znów zaczynały się żeglowania w gnojowniku, znikały kolejne suche i czyste spodnie. A kiedy przyjechali rodzice z miasta było pewne, że skończy się to dupo-biciem i tym najgorszym – kazaniem umoralniającym. Można było jednak na chwilę odpocząć, bo mama najczęściej przywoziła kilka landrynek dla pocieszenia podniebienia, albo pomidora, którego nie lubił, bo w domu nie rosły. Nawet posypanie go cukrem budziło obrzydzenie i ten zapach... bardziej wiercił w nosie jak zapach gnojówki.

Kiedy pogoda się popsowała, bo przyszły znad Ukrainy – jak mówił dziadek – długie deszcze i trzeba było zostać w domu, Jaś najbardziej lubił wtedy budowę domu ze szczypek, którymi palono w kuchni. Zabawa ta miała jednak pewną słabą stronę, bo sukcesywnie podkładano te drewnianki pod

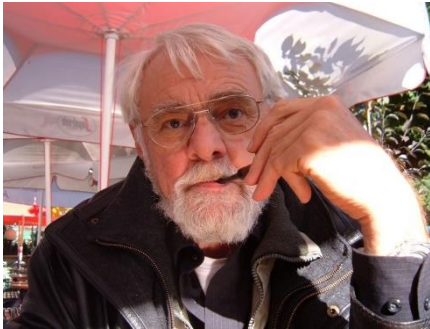
kuchnię, gdzie gotował się obiad. Po pół dnia szczypek już nie było. Po zjedzeniu obiadu, najczęściej samej zupy, ojciec przynosił kolejną porcję szczypek i można było dalej bawić się w budowniczego drewnianego domku. Jednak kiedy młodsza siostra nauczyła się chodzić również chciała pomagać w budowie. Najczęściej taka obopólna konstrukcja kończyła się katastrofą budowlaną, a w konsekwencji bijatyką z siostrą. Nie ważne było kto rozpoczął awanturę, ale jako starszy Jaś powinien był, w opinii rodziców, ustąpić młodszej siostrze. Tak więc był karany za niesubordynację i brak opieki nad siostrą, np. podkręceniem ucha. Nie mogąc wygrać konkurencji budowlanej z siostrą, rozciągał duży koc i wczółgiwał się pod niego, by straszyc siostrę i by przejąć kierowanie zabawą. Siostra jednak zdaje się miała takie samo pragnienie, a więc wzięła szczypkę i zdzieliła podkocowego stracha przez łeb. On stracił świadomość i padł. I pewnie by się udusił, gdyby nie spostrzegawcza mama, która ściągnęła koc i kubkiem zimnej wody ocuciła syna, ociając jego życie. Po tych zajściach i atrakcjach mama zapędziła Jasia do paciorka. Musiał się porządnie dwa razy przeżegnać, zmówić Ojczy nasz..., Zdrowaś Maryjo... i Aniele Boży, Stróżu mój..., Amen. Jaś po paciorku dawał nura pod pierzynę i szybko zasypiał.

Kiedy przychodziła środa, każdego tygodnia od czwartej nad ranem słychać było stukot końskich kopyt i terkot wozów z drewnianymi kołami. Z okolicznych wsi do Starego Sącza pędzili rolnicy wozami z produktami na sprzedaż. Niektórzy prowadzili do rzeźni jałowki i buhaje, a handlarze próbowali już wcześniej podkupić co dorodniejsze sztuki. Rolnicy musieli oddawać tzw. kontyngent, a więc handel kwitnął już ok. pół kilometra przed targowiskiem. Kobiety niosły na rynek maślany jaja, sery, masło i maślanke, ale i króliki, kury i koguty na sprzedaż. Wszystkiemu towarzyszyły głośnie rozmowy, odgłosy targowania się, a na środku rynku odbywały się próby siły wystawianych koni na handel. Takie konie zaprzęgano do wozów: jedni je trzymali, a inni podnosili tyły, by konie mogły zerwać się do ciągnięcia. Kiedy następowały kolejne transakcje i gotówka zagościła w kieszeniach sprzedających, wszyscy biegali do babci, która ukradkiem sprzedawała samogon kupującym. Wtedy wrzask robił się coraz głośniejszy, próby koni i oglądanie bydła coraz bardziej żywiołowe. Co poniektórzy nawet odbywali tańce i podśpiewywali sobie. Około godziny 8. gwar cichnął, a kolejne furmanki wracały do swoich domów na okolicznych wsiach. Znów było słychać turkot furmanek i klekot końskich kopyt i pokrzykiwania furmanów.

Na tzw. małym rynku odbywały się handel, gołębiami, kurami, indykami, kaczkami, gęsiami, a obok także jagniętami. Właściciele targowali się między sobą, a jeden starał się podkupić drugiego. Obok tego rynku stał sklep rolniczy, gdzie sprzedawano narzędzia do pracy na roli i w ogrodach przydomowych, a przy schodach do niego handlowano także

(Dokończenie na stronie 24)

## Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

## Okruch ostatniej kromki Chleba...

Daleko na horyzoncie zachodziła wolno jasność promiennego dnia. Zapadał zmierzch. Zapaliły się rzędy kolorowych żarówek. Ciągle jeszcze śpiewał chór. Gardła pełne słów, których z tej odległości nie można było zrozumieć. Jeszcze jedna pieśń do marszu, jakby Niemcy nigdy nic innego nie robili, tylko maszerowali, maszerowali. Pieśń chwytająca za gardło – ten kraj, to miasto, tych ludzi, którzy teraz stali na baczność, kiedy on szedł ścieżką w dół. Znalazł się w środku miasta, gdzie odbywał się jakiś miting, albo taki wiec. Wszystko jedno, gdyż zapragnął nagle być takim ślepcem z białą laską. Ale tego pomnika i tego tłumu nie można było nie widzieć. On jeden stał teraz na uboczu, nie licząc kilku policjantów, którzy wcześniej rozciągnawszy kolorowe wstęgi wyznaczające ścisłe miejsce mitingu, stali z założonymi rękami na pierśiach, ważni i pewni siebie, jakby pilnowali tu gromady rozwydrzonych dzieci w lunaparku. Wiatr tarosił jakieś hasła, jakieś flagi i jakieś słowa. Odróżniał je z łatwością, nie tak, jak miało to miejsce z chórem na parkowej górze. Jeszcze jedno wzniosłe przesłanie rasy umarłych – pomyślał. Słowa rzucane na wiatr, albo raczej... pod wiatr, który je natychmiast zawiruje, zmiesza z innymi słowami i rzuci z trzaskiem o ziemię. Tę ziemię, która nie chce być miejscem dla nowych, masowych cmentarzy. Pogrobownicy idei dawno umarłych. Umarłych? Nie, przecież widzi to na własne oczy i nie jest już ślepcem z białą laską. Do diabła! Miał dość tego dnia i lepiej, gdy by natychmiast wrócił do domu. Pomniki z tymi symbolami, chóry, hełmy, dęte orkiestry, żelazne krzyże, drapieżne w swym wyglądzie orły, dzielni bohaterowie i dzielni wojownicy. Nie, to nie na jego skołatane nerwy. To przecież nie był nagrobek ofiar wojennych, ale pomnik bohaterów wojny! Boże, przecież im wszystkim poprzestawiało się w głowach, pomieszało!

Otulił się szczerzej paltem. Od pewnego czasu wiał ostry, porywisty wiatr. Zrobiło się zimno od tego wiatru i od słów, które teraz padały prosto w jego uszy. Znajome kamieniczki, drzewa, cały ten plac wydał mu się nagle obcy. I ci ludzie, nieludzie – jakby stał tu pośród

obcych. Stał z boku i chciał tam stać. Czy to wszystko w nim będzie już do końca, czy nigdy nie potrafi już inaczej myśleć?

Teraz dopiero spostrzegł, że obok jakaś kobieta karmiła gołębie. Była tym tak zajęta, że nawet nie czuła, kiedy dotknął jej ramienia. Stado gołębi płoszyło się od krzykliwych natarczywie słów jakiegoś mówcy, wybiegających z rozstawionych na placu megafonów. Przypominał głos syreny alarmowej. Uwaga, uwaga nadchodzi...

– Proszę pani... – ryk tłumu zagłuszył jego słowa.

– Proszę pani!

– Słucham pana... – chciał o coś zapytać tę kobietę, miał wiele pytań, ale nagle wyleciały mu z głowy. Zmieszał się, kiedy spojrzała mu w oczy. Była starą kobietą i zauważył to dopiero teraz, kiedy zwróciła twarz w jego stronę. Wyglądała inaczej, pochylona nad stadem ptaków z tą wyciągniętą ręką.

– Nic, nic... pomyliłem się... przepraszam.

Podniósł kołnierz palta, ale ona teraz usilnie szukała jego spojrzenia.

– Nie szkodzi, zdarza się... A wie pan, na tym placu dawno temu w przeszłości... Już nie pamiętam. Tyle zapomniałam rzeczy naraz. O, przepraszam. Mój piesek odbiegł za daleko... Karl rozglądnął się za psem, ale go nie zobaczył w zasięgu wzroku.

– Nie ma go, prawda? I chyba już nie wróci...

– Jak wyglądał pani piesek?

– Taki mały z odstającymi uszkami. Zapomniałam tylko, jak się wabi... Tyle, tyle lat. – Jej oczy były nieruchome, wpatrzone jakby w jeden punkt nad jego głową, a może trochę z boku. Rozniebieszczone oczy starych kobiet, prawie bez źrenic, ale zawsze piękne.

– Czy pan nie mógłby go odszukać? Muszę nakarmić gołębie. Widzi pan, jakie są głodne?

– Nie miała pani ze sobą smyczy?

– Mój piesek nie znosi smyczy. Pewnego dnia... – przesunęła się w jego stronę, jakby chciała wyjawić najgłębszą tajemnicę. – On pewnego dnia potargał ją. Po prostu przegryzł w paru miejscach. Teraz boję się o niego, jest taki mały i śmieszny... Ci ludzie mogą go stratać na śmierć. Jak oni groźnie krzyczą, czy pan słyszy?

– Nie chcę słuchać.

– Płoszą moje gołębie. Muszę się spieszyć, nad miastem kotłują się czarne chmury. Niech pan mi pomoże. Tu jest chleb. Taki komiśniak jak w czasie wojny. Trzeba go podrobić na małe okruszynki. O, tak... dobrze, dobrze.

Rozkruszył w palcach kromkę chleba. Wiatr porywał okruszki wprost z dłoni. Zaciśnął pięść i zrobił to machinalnie.

– Niech pan sypie. Proszę pana, dałam panu chleb. Czy coś się stało? Jest pan taki bładny...

– To nic, zaraz mi przejdzie.

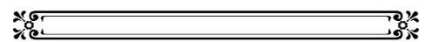
– Tak, wszystko przechodzi. Może usiądziemy na chwileczkę.

– O, nie, ma żadnej wolnej ławki. Stoją na nich ludzie. Dziwni, młodzi ludzie. Niech pan popatrzy, jak oni wyglądają. Jak ten świat się zmienia... Chociaż te ręce wyciągnięte przed siebie, jakbym to już gdzieś widziała...

Otworzył pieść i podniósł ją do ust. Okruszki chleba pachniały jakoś miodnie. Połykał je pośpiesznie, ale kobieta i tak zauważyła to. Jej oczy poruszyły się nieznacznie:

– Jest pan głodny? – zapytała wyciszonym głosem i nagle pogłaskała go po ręce. Jej dłoń była koścista i zimna jak lód. Przez moment miał ochotę odepchnąć jej dłoń, ale nie zrobił tego. Nawet wówczas, kiedy głaskała go po twarzy. Taki matczyzny gest, który już zapomniał. Nie zapomniał jednak komiśnego smaku obozowego chleba. Był zawsze tam głodny. Dzień i noc głodny. Odwrócił się i zaczął iść szybko, prawie biegnąc. Bał się, że będzie za nim wołać, aby odszukał jej pieska o odstających uszach, bez smyczy, którą pewnego dnia pogryzł. W tym tłumie i tak by go nie odnalazł. Daremny trud. Kiedy w chwilę potem zatrzymał się, kiedy spojrzął za siebie, tej kobiety już tam nie było. Ani śladu po gołębiach. Nad miastem zbierała się burza...

Kazimierz Iwosse



## Jarosław Stanisław Jackiewicz

### Stoję na moście

Stoję na moście  
zawieszony nad rzeką

pode mną  
bystry nurt  
Nie zatrzymam

Stoję na moście  
zawieszony nad czasem  
Na moście łączącym dwa brzegi  
Przeszłość i przyszłość

pode mną  
bystry nurt  
Życie

Jak ślepy starzec Rilkego na Pont du Carrousel

Jak Apollinaire na Pont Mirabeau  
Jak Baczyński na Pont d'Avignon  
lub Staś z „Brzeziny” Iwaszkiewiczca  
na tej wiosennej kładce

STOJĘ NA MOŚCIE  
WIERSZA



## Kozetka (104)



## Zielona noc

*I have done nothing all summer  
but wait for myself to be myself again.*

Georgia O'Keeffe

## Joanna Friedrich

Piszę zupełnie od nowa, po letnim odlocie – gotowa.

Tego lata zbieram sposoby na uspokojenie. Uprzejmość. Sztuka. Ruch. Kultura. Natura. SPA.

Do listy „rzeczy na uspokojenie” dopisuję: położyć się na nagrzanym murku śródziemnomorskiej promenady, patrzeć jak mieszają się chmury, słyszeć, jak mieszają się języki, francuski, włoski i hiszpański i dostrzec na niebie „Okno Opatrzności” (...)

Duch jest we wszystkim.

Łatwo to pisać w samolocie nad chmurami.

Wtedy nie tylko przysłowiowa głowa, ale całe ciało jest w chmurach – zawsze wtedy staram się zapisać chociaż kilka słów.

Mają dla mnie inną wartość, niż te pisane bliżej jądra ziemi.

Przez całe wakacje pisałam mało, głównie elektroniczne listy do psiapsi, równie cierpliwych jak klawiatura.

Człowiek ciągle czegoś szuka, wakacje są czasem, kiedy znajduje – częściej.

Wakacje są bramą do lepszej rzeczywistości, lepszej wersji siebie, przez resztę roku za nimi tęsknimy, za tym nieokreślonym, ale namacalnym szczęściem.

Może sprawia to dopływ tlenu do większej powierzchni ciała, albo jest to efekt kontaktu ze słońcem, wiatrem i temperaturą zbliżoną do naszej: 36,6.

Człowiek dostaje obłądnie pachnące oleandry nocą i przez chwilę nie myśli, że to

świętokradztwo.

Krokierzyk pokazuje rekordy, ciało nawet przez chwilę nie czuje się zmęczone.

Cała na przód ku nowej przygodzie.

Ku wodzie, z widokiem na statki, kąpieli w słonych falach w zachodzącym słońcu.

Wszęchobecnii trenerzy i couchinie dla osiągnięcia spokoju zalecają stonowane kolory, jednak moje obserwacje podpowiadają, że kluczem są naturalne impulsy, jeśli masz ochotę na kolor – (u) bierz go. W moich ulubionych karminach, koralach, malinach, morelach i żółciach, z kroplą turkusowego – w hiszpańskie tło wtapiam się jak tubylec, nie mówiąc o włosach – które z fal na północy – na południu zamieniają się w loki. Skąpana w bugenwiliach i kąpiących się paniach topless – w każdym wieku, Hiszpania, miłość mojego życia, działa ośmielająco i oszałamiająco.

Niepisanie spulchnia egzystencję i przynosi zmiany, toruje im drogę.

Rzecz jasna, inne portale innych zmian do destylowania esencji z Losu kreuje się piórem, małuje pędzlem, inne jeszcze – tańcząc.

La dolce vita!

O le!



## Grażynka

Świat wirtualny zawładnął tak mocno świadomością jednostek, że relacje człowiek – człowiek w świecie namacalnym zeszyły na daleki plan. Nie użyłam nazwy „świat rzeczywisty”, bo dla wielu owym rzeczywistym jest ten widziany w internecie, telewizji, czy w telefonie komórkowym. Ponadto osoby korzystające z facebooka żyją w przeświadczeniu, że mają wielu przyjaciół, a więc ta najdoskonalsza relacja między człowiekiem a człowiekiem jest w ich życiu spełniona. Słyszę czasem, że ktoś ma tysiąc, a nawet więcej przyjaciół. Ale gdy znajomy artysta wierząc w to,

zaprosił swoich domniemanych przyjaciół na spotkanie, wynajmując stosowny lokal, to przyszyły trzy osoby. A chciał poznać – jak wierzył – owych kilkuset deklarujących przyjaciół.

Okazuje się, że trudne jest przejście z jednej postaci rzeczywistości do drugiej, że wybór świata wirtualnego jako nadrzędnego zwalnia z konieczności podejmowania czynów. A przyjaźń ich wymaga.

Zawarcie przyjaźni najczęściej wiąże się z upływem czasu pozwalającym obydwu stronom poznać się i zdać sobie sprawę z łączących je ideałów i podobieństwa dróg, którymi zdążają do nich. „Jedno serce równe w wierze, a do wybranych już należeć” – wołał Henryk Ibsen ustami jednego z bohaterów sztuki teatralnej.

Bywa też przyjaźń łącząca osoby o różnym poziomie intelektualnym, pochodzących z odmiennych warstw społecznych, wyznających odmienne poglądy na świat. Zawijają się między nimi na przykład w sytuacji zagrażającej życiu, w obozie, na wojnie, czy w więzieniu. Udzielana wzajemnie pomoc w tych granicznych okolicznościach – łączy. Wytwarza trwałą więź między nimi, pamięć przebytych wspólnie tragicznych wydarzeń.

Bywa, że przyjaźń rodzi się między osobami pogrążonymi w codziennym życiu, których zainteresowanie koncentruje się na nim. Pomoc, współdziałanie, współuczestniczenie w zabieganiu wokół zwykłych powtarzających się spraw, możliwość zwierzenia się z kłopotów – też rodzi jeszcze jedną z odmian przyjaźni.

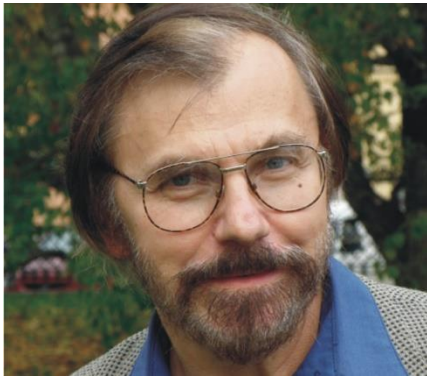
Nie każdy człowiek jest zdolny do przyjaźni. Jest to więc przynosząca szczęście odnalezienia bratniej duszy, ale zarazem wymagająca czynów, a więc zmuszająca do wysiłków. Nie każdy może być przyjacielem, bo wielu przedkłada wygodę nad czynny, bo wielu przedkłada więzi rodzinne nad przyjaźń.

Osobą doceniającą wartość przyjaźni i umiejącą się przyjaźnić była Grażynka Szafrńska-Kula. Tworzyła atmosferę ciepła i nie szczędziła ciepłych słów otaczającym ją osobom. Poznałam ją niedawno i od razu nawiązała się między nami więź przyjaźni, którą brutalnie przerwała Jej śmierć. Wytworzyła się pustka i wzmożona świadomość tego, że nieprawdziwy jest pogląd, w myśl którego nie ma ludzi niezastąpionych. Szczególna więź między nami miała źródło w tym, że Grażynka była żywą ilustracją zarysowanego przeze mnie ideału człowieka w moich książkach poświęconych filozofii codzienności.

Radość istnienia emanowała z Grażynki, powiązana z ciekawością świata oraz powszechną życzliwością. A ponadto Grażynka była dowodem tego, że można zachować w sobie dziewczęcą mimo upływu wielu lat. Poznałyśmy się w szczególnym miejscu Warszawy, w salonie artystyczno-literackim „Kalinowe Serce”, który był drugim domem Grażynki. Za sprawą Zbyszka Dziegiela – twórcy salonu – atmosferę tego miejsca przenika duchowość wielkiej Artystki Kaliny Jędrusik.

prof. Maria Szyszkowska

## Listy do Pani A. (194)



Fot. Andrzej Dębowski

## Profesor Syfilutek

Droga Pani!

Czytam z zainteresowaniem książkę Jacka Woźniakowskiego (1920-2012) „Ze wspomnień szczęściarza”. Świetna rzecz! Klara, przejrzysta, niesłychanie taktowna, delikatna. A co za język! Dziś już chyba nikt nie potrafi pisać taką polszczyzną. Wydał te wspomnienia ZNAK w 2008 roku, ale Ania kupiła mi je niedawno. Minęło kilkanaście lat, autora już nie ma z nami, a tekst czyta się znakomicie, jakby to wszystko było napisane wczoraj.

Pasjonująca rzecz. Przenosi nas ona w czasy dawniejsze, ale i powojenne, nam współczesne. Od śmierci autora minęło „zaledwie” dwanaście lat! Można z żalem pomyśleć, jakie to niegdyś były czasy, jacy ludzie podówczas nadawali ton. Oczywiście, nie wszyscy. Było też dużo osobników, zwłaszcza w czasach powojennych, niegodnych, a grających rolę inteligentów czy nawet decydentów. Pod tym względem w zasadzie nic się nie zmieniło. Ale to są oczywistości, o których Pani dla porządku tylko przypominam.

Może Pani pomyśleć, że gloryfikuję dawniejsze czasy, a także tamtych ludzi, których już dzisiaj coraz mniej. W każdym razie sama postać Jacka Woźniakowskiego, człowieka o niezwykłej kulturze, szlachetności i wiedzy, jest do dziś ze wszech miar fascynująca i ciekawa. A także unikalna. Dziś trudno jest spotkać podobne osoby, ale na szczęście jeszcze można, nawet wśród młodych.

Świetny pisarz, obdarzony poczuciem humoru na najwyższym poziomie, snuje swoje wspomnienia, które urzekają klimatem, swoją estetyką narracji, błyskotliwą anegdotycznością. A także aktualnością.

Ktoś powie, że dziś być szlachcicem, to jakiś anachronizm. Tymczasem nie chodzi tutaj o samo chętnie się pochodzeniem, ale przede wszystkim o wewnętrzną (ale i zewnętrzną) postawę. Była przecież, co wiemy z historii, szlachta, nawet utytułowana, w której szeregach byli obwiesie, kłamcy, zdrajcy i złodzieje. Bo tu nie chodzi o dyplomy i tytuły, ale właśnie o postawy. Tę „szlacheckość” można w sobie wyrabiać każdego dnia. Na czym to polega? Najprościej mówiąc na opanowaniu

pewnych odruchów, wyrobieniu pewnej delikatności oraz szacunku dla innych. Szlachectwo to nie tylko „urodzenie”, ale przede wszystkim to, co przez całe życie musimy w sobie świadomie hodować. I takie przesłanie można wyczytać pomiędzy zdaniem wspomnień Jacka Woźniakowskiego; w ich pasjonującej tkance fabularnej.

Piszę tu Pani takie patetyczne głodne kałki, bo taki ze mnie zrobił się profesor Syfilutek. Tymczasem zapominam, jak mnie samemu trudno utrzymać się w tzw. „formie”... Oto idziemy z Anią na spacer, nagle znienacka miją nas jadący szybko rowerzysta. Zamiast „dżentelmeńsko” zignorować głupca, który jak wariat jadąc po chodniku stwarza zagrożenie, rzucam za nim, wyrażę się delikatnie, na cały głos paniami lekkich obyczajów. Nie dosyć, że przy Ani, to jeszcze w jakiś sensie publicznie. Ania się gorszy, oburza, twierdzi, że reaguję jak ostatni cham. A co ja zrobię, kiedy mnie idioci na rowerach przestraszają i wkurzają? Kiedy sobie to wszystko uprzytomnię, myślę o Jacku Woźniakowskim, i wtedy robi mi się wstyd. Zdarza mi się czasem opanować to w gruncie rzeczy irracjonalne zachowanie, ale już za dziesiątym takim „cyklistą” znowu rzucam mięsem... I znowu mówię sobie mea culpa.

Proszę koniecznie sięgnąć po „Ze wspomnień szczęściarza”. Na pewno wzbudzi w Pani autentyczne zainteresowanie. Przecież nie może być inaczej...

Niespodziewanie znalazłem na YouTube znakomitą homilię jezuita, ks. Jacka Prusaka, na temat istoty Bożego Ciała. Przeciwnie ludzie traktują to w sposób magiczny, uważają, że najważniejsza jest niesiona w monstrancji hostia, albo schowana w tabernakulum. Tymczasem – zauważa Prusak – *Boże Ciało dane jest nam w posiłku, dlatego jest to Uczta Pańska, a eucharystia nie polega na „produkowaniu: Jezusa na potrzeby tabernakulum czy procesji*.

Skoro Chrystus jest chlebem czekającym na głód (*Św. Augustyn*) *upewnij się, czy jesteś głodny a nie godny – nikt nie jest godny, ale każdy ma prawo czuć się głodny, i dlatego jest to dar. Jedynym warunkiem wstępnym uprawniającym do uczestnictwa w Eucharystii jest głód a nie „bycie porządnym” czy „czystym”. Franciszkanin, Richard Rohr, trafił w dziesiątkę mówiąc, że „Jezus przychodzi nas raczej nakarmić, niż jedynie nauczać. Kochankowie potrafią to zrozumieć. Inni uczynią z tego wzniosłą liturgię i zawiłą teologię”.*

Tymczasem katolicyzm, zwłaszcza w polskim, tradycyjnym wydaniu, ma jednak więcej wspólnego z magią, religijnym zabobonem, bezmyślną dewocją, w których gubi się najważniejsza istota chrześcijaństwa; oraz z narzędziem politycznym.

Owszem, procesje, to bardzo piękna rzecz, malownicze, ludowe widowisko. Ale w takim ujęciu to właśnie tylko widowisko. Ale może jeszcze za wcześniej, by ludzie zdolali myśleć samodzielnie, bez tekturowych podpórek, odróżniać sztafaż od abstrakcyjnie pojmowanej Istoty. Ważne, aby wyrabiać w sobie metafizyczną wyobraźnię oraz intuicję, a tego nie uczą żadna masowa, by nie powiedzieć: ko-

mercyjna, populistyczna religia. (Przyznam się Pani, że i tu staram się, ale niekiedy wychodzi to tak, jak z cyklistami...).

Dotyczy to także modlitwy, która nie polega na klepaniu formułek. Twierdzą, że samo istnienie jest już najpiękniejszą modlitwą. Modlitwa nie potrzebuje słów. Podobne przekształcanie odnajduję w wierszach Andrzeja Saja z tomu „Zapatrzeni”. Znajdziemy tu liczne, ekfrazy, odniesienia do mitologii i historii, zagadnienia egzystencjalne, filozoficzne. Poeta jakże słusznie oddziela sprawy religijne od problemu wiary. Dlatego w poezji, ale i w naszym życiu wewnętrznym, ważniejsze jest milczenie od uporczywych poszukiwań nazw i opisów. Wystarczy uwierzyć – pisze Saj w jednym z wierszy – że Bóg to czas władający przestrzenią, i nic się nie dzieje bez jego przyzwolenia. To bardzo mądra poezja, doskonale wpisująca się w nowoczesne koncepcje intelektualne, ale nie naśladowcza, przeciwnie – niosąca odważne piętno indywidualizmu, budująca jakże oryginalną i głęboką metaforykę. Nie chcę znowu być mentorem, ale powiem, że powinna Pani tę poezję koniecznie poznać i przemyśleć.

Polecam też Pani najnowszy tomik Elżbiety Cichli-Czarniawskiej „Coraz głębiej”. Zmusza nas bowiem do głębszej refleksji, wchodzi w dialog z wrażliwością i wyobraźnią czytelnika.

Poetka unika dosłowności, a zatem mamy tu do czynienia ze szkieletowym nakreśleniem poetyckiej wizji. Cała reszta pozostaje jakby „we wnętrzu słowa”, do którego to wnętrza można dotrzeć posługując się intuicją i wyobraźnią. Nie da się bowiem w prosty sposób opisać skomplikowanych, indywidualnych doświadczeń, uczuć; bolesnych czy przyjemnych doznań. Ani też wynikających z tego filozoficzno-egzystencjalnych refleksji, ponieważ owe refleksje pozostają w sferze wyłącznie emocjonalnej, umykają jakiegokolwiek werbalizacji. Ta poezja odnosi się przede wszystkim do wyobraźni czytelnika, do jego wrażliwości. Cały „teatr poetycki” dzieje się tutaj w pewnym sensie poza tekstem. Tekst w połączeniu z wrażliwością odbiorcy buduje nową jakość i kształtuje przesłania, dostosowane do indywidualnej percepcji. Wszystko dzieje się w irracjonalnych przestrzeniach, umykających potocznej interpretacji. A z drugiej strony jakże realistycznych. Słowa w swoich konfiguracjach tworzą asocjacje, otwierają nowe przestrzenie; nowe pola dla mistycznych poszukiwań.

A tu znowu jesień. Ani się obejrzelśmy, kiedy rok zaczął powoli zmierzać ku końcowi. Ale ja lubię jesień. Zwłaszcza tę, która jak u Tuwima „mimozami się zaczyna”... A Pani?

Pozdrawiam Panią złoto-jesiennie –

**Stefan Jurkowski**



## Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

## Powstanie... Warszawskie...

1 sierpnia 1944 roku wybuchło Powstanie Warszawskie – największa akcja zbrojna podziemia w okupowanej przez Niemców Europie. Przez 63 dni żołnierze Armii Krajowej prowadzili heroiczną i osamotnioną walkę, której celem była niepodległa Polska, wolna od niemieckiej okupacji i dominacji sowieckiej. Minęło właśnie 80 lat od tych heroicznych i jednocześnie tragicznych wydarzeń.

### Andrzej Dębowski

Nie chcę opisywać jak przebiegało samo powstanie, jak do niego doszło, czy było potrzebne, czy też nie. Jakie błędy popełnili polscy ówczesni politycy i dowódcy wojskowi, siedzący głównie w Londynie i którzy nie mieli praktycznie żadnego rozeznania w sytuacji w kraju, w Warszawie? Że znikąd nie otrzymaliśmy skutecznej pomocy, że potraktowano nas gorzej niż sprzymierzeńców Hitlera: Italię, Rumunię, Finlandię. (...) Sierpniowe Powstanie Warszawskie z powodu braku skutecznej pomocy upadło w tej samej chwili, gdy armia nasza pomagała wyzwolić się Francji, Belgii i Holandii. Powstrzymujemy się dziś od sądzenia tej tragicznej sprawy...

Na ten temat ukazało się setki książek, więc kto zechce, sięgnie po nie, dokona szczegółowych analiz. Mnie zastanowiło natomiast coś zupełnie innego. Tuż przed rocznicą narodowego zrywu, ukazało się wiele tekstów na ten temat. Wszystkie komentowane nie tylko przez znawców, historyków, profesorów, ale także i zwykłych obywateli. Ciekawa to lektura i wielce pouczająca. Postanowiłem więc dokonać niewielkiego wyboru z morza (a w zasadzie z oceanu komentarzy) zalewających internet. Naprawdę komentarze te dają do myślenia. Często więcej, niż dziesiątki przeczytanych książek... Pisownia wypowiedzi odryginalna:

#### etos:

Mikołajczyk powinien być rozstrzelany za idiotyczną decyzję, za niepotrzebną śmierć i gehennę tysięcy ludzi, za zniszczenie Warszawy! Dzisiaj też politycy szastają głupimi słowami, straszą, eskalują wrogość i niepotrzebne napięcie między państwami!

#### zdziwiony:

OK, AK chciało powstania. Dążyło do jego wybuchu. Oni chcieli, ale co z ludnością cywilną. To cywile zapłacili największą cenę za mrzonki generałów z AK. Żaden z głównodowodzących nie zginął w powstaniu. Siedzieli w piwnicach. I stamtąd „bohaterko” wysyłali dzieci na czołgi.

#### obserwator:

Przywódcy powstania generałowie Komorowski (Bór) i Okulicki (Niedźwiadek) powinni stanąć przed sądem wojskowym za tą straszną zbrodnię na narodzie polskim, jakim było powstanie. 220 tysięcy ofiar, miasto stołeczne całkowicie zniszczone. To była gehenna narodu polskiego. Dopuszczenie dzieci do walki nie mieści się w jakichkolwiek annałach wojennych. Dla powstańców chwała po wszystkiek czasy, dla przywódców żądnych władzy politycznej, kara śmierci.

#### Aleg:

Gdyby to haniebne powstanie nie wybuchło to Warszawa nie byłaby obrócona w popiół. Wiele europejskich stolic ocalało, nie wiem tylko dlaczego „polskie” media oraz „polska” ciemnota urzędnicza uparcie honorują ten haniebny dzień?

#### myślący:

Ma w 100% rację Zybortowicz („Obtęd 44”), to powstanie nie miało sensu, a było zbrodnią spowodowaną przez decyzje polityczne naszych polityków którzy nie troszczyli się o naród. Najważniejsza dla nich była polityka (tak jak i dziś). Liczyli się z tym, jaki będzie skutek, bo wiedzieli o dysproporcji sił. Jego przywódców, którzy podjęli decyzję o wybuchu powinno się postawić przed sądem, a nie czcić (tak mówił nawet Anders). Idioci siedzący w rządzie londyńskim, oderwani od rzeczywistości skazali na rzeź 200000 ludzi i zagładę miasta, tylko dlatego, że oni chcieli po wyzwoleniu Warszawy powitać w niej Rosjan. Rosjanie by mieli ich w d... i tak by aresztowali akowców. Ale ci głupcy zrobili przysługę Stalinowi, wyrznęli ich Niemcy i powinien im Stalin za to dać medale. Podobno potem po klęsce cywile, którzy przeżyli, pluli nawet na idących do niewoli powstańców za niepotrzebną walkę skutkującą zagładą miasta i ludzi.

#### Sisi:

Wy wszyscy, którzy opluwacie i oskarżacie tych, którzy się nie wahałi oddać własne życie, którym najdroższa była wolność kraju, wy wszyscy, którzy jesteście wychowankami tych, których nazywacie głupkami, zdrajcami, agentami – kim wy jesteście, jak smakuje wam ich życie, które poświęcili dla was?

#### prawda o powstaniu:

Burżuazja w obronie własnych majątków, zakładów, rzuciła na RZEŹ polską młodzież... Wykorzystano w imię walki z okupantem nieświadomą prawdziwych celów młodzież... dla organizatorów powstania powstańcy byli zwykłym mięsem armatnim, liczył się cel główny... obóz londyński cel osiągnął dopiero po dojeździe do władzy soli-damowski... i jeszcze jedna uwaga: rząd w czasie wybuchu wojny zachował się jak włoski kapitan jachtu, czyli spieprzył pierwszy i jak Rosjanie prowadzili ofensywę i wyzwalali już tereny Polski, nagle burżua-

zja postanowiła przejść władzę w kraju... KOSZTY NIE MIAŁY ZNACZENIA!!! Pierwsi uciekli z kraju, ale... i pierwsi byli już w wyzwolonej Polsce...

#### ujjjj:

I poszła fala krytyki od wszechwiedzących inter-nautów, tak jakby tutaj każdy z Was miał wtedy broń w łapie i doświadczał mordu bliskich każdego dnia, bez kromki chleba w buzi. Wasza krytyka jest idiotyczna. Bo co można powiedzieć o czasach, w których się nie żyło i o sytuacji, której się nie doświadczyło? Czy uważacie, że ci ludzie, którzy wnieśli powstanie chcieli dobić mieszkańców Warszawy?

#### tan:

Jestem Ślązakiem urodzonym przed II wojną światową. Urodzony w suwerennym państwie wiem, że Śląsk nigdy nie był objęty akcją zaborczą Polski, bo Polska zrzekała się Śląska w 1335 roku w Układzie Trenczyńskim i to przez króla polskiego nazwanego Wielkim (Kazimierz) z klauzulą Układu: POLSKA ZRZEKA SIĘ PRAWA DO ŚLĄSKA PO WSZE CZASY. Na tymże Śląsku po I wojnie światowej raz po raz wybuchały tak zwane tutaj „powstania śląskie”. Kiedy wspominam Powstanie Warszawskie, kto i kogo miał za wroga – uzbrojonego w artylerię, działa, czołgi, broń maszynową, lotnictwo i zaplecze, to mam łzy w oczach na przegromne bohaterstwo powstańców warszawskich. Za obraźliwe uznaje, nazywanie „burd śląskich” – na równi z Warszawą. Obrażani są bohaterowie Warszawy!!! Tutaj na Śląsku obraża się także Warszawę przez wybudowanie muzeum „burd śląskich” nazywając je „muzeum czynu powstańczego”. Ja znam nie tylko kulisy powstań, ale także atmosferę tysięcy domów i rodziców śląskich, którzy mieli dosyć śmierci, bólu i żałoby wynikającej ze skutków I wojny światowej. Na burdach śląskich zależało komu innemu aniżeli Ślązakom! Udział Ślązaków był marginalny, wysługiwano się jedynie kilkoma nazwiskami, a kadra oficerska i dowództwo rzeczywiste to obcokrajowcy. Niestety owe burdy stawi się jako ZRYW (dodając: „ludu śląskiego”). Tymczasem ZRYW patriotyczny Ludu Warszawy do walki z potężnym agresorem kwestionowany jest przez liczne rzesze Polaków. Gdzie my jesteśmy!!!!

#### Aragon:

Jeśli macie za głupich waszych przodków i wasze korzenie, ludzie którzy was wychowali, a ich sukcesy, sławiące dobre imię Polski, macie za nic – to kim wy jesteście?

#### Setran:

Do wszystkich profesorów, znawców, forumowiczów i krytykantów Powstania Warszawskiego. Lepiej umrzeć za ojczyznę podczas walki z karabinem w rękę, niż iść na rzeź potulnie, jak barany.

#### William:

No i po co było to powstanie? Kolejne zakończone klęską i okupione niepotrzebną śmiercią wielu ludzi... A wygrała i tak polityka ponad głowami umierających Polaków... Chyłę czoła przed bohaterstwem tych ludzi, którzy pewnie do dziś nie rozumieją, że ich patriotyzm został cynicznie wykorzystany dla celów politycznych!

#### Pol 72:

Bezsensowne straty w imię nierealnych celów politycznych. Zdrada Francuzów i Anglików była oczywista, już w 1939 roku, a Amerykanie poświęcili nas, jak to oni, w imię swoich interesów, stan-

(Dokończenie na stronie 24)

## Ławeczka Józefa Barana (22)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu  
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

### 2 marca

Jadę do wnuków z obiadem i książką Biały kiel dla Niny.

U wnuków. Dostaję telefon, że Leszek Cz., który mieszkał prze wiele lat w USA, jest teraz w Głogoczowie w Domu Seniora „Na wzgórze”. Jadę z Asią, bo to niedaleko od Mogilan. Zagrodzony i zamknięty dom, pani na portierni: „Przyjacieli Leszka, bardzo proszę, na pewno się ucieszy”. Ucieszył się, poznał, wyciągnął ramiona z wózka inwalidzkiego w geście powitania. Jak to on. Zostały mu wszystkie amerykańskie teatralne gesty i niewiele w pamięci. Prowadzi do pokoju. Dziwne to, paradoksalne, że los go zapędził teraz do tego koziwego rogu na peryferiach, gdzie Leszek będzie „dogasał” z gromadką innych dogasających, choć miał jeden dom w Ameryce, drugi na polskiej wsi i kamienicę w Krakowie. Unowocześniona historia króla Lira?

Mojej córki nie pamięta i nie pamięta tego, że byłem u niego dwukrotnie w Ameryce. „Byłeś? Jak miło! I co i podobało Ci się?”. „Oczywiście, kochany Leszku, napisałem nawet parę reportaży”. „Tak? Niewiarygodne!” – udaje zdziwienie. Ma 88 lat. Nie pamięta też wielu znajomych, z którymi się obydwał przyjaźniłymi. Mnie, co twierdzi stanowczo, pamięta. „No jakże by nie?! Ty jesteś prawdziwy facet!”. Ale czy rzeczywiście pamięta z imienia i nazwiska, nie wiem. „Miałeś trzy domy” – mówi. „I masz nadal?” „Ależ oczywiście!” – odpowiada, strzelając przy tym łacińską maksymą, z której wynika, że trzeba wszystko trzymać w garści. „Masz tu dobre powietrze, dożyjesz stu dziesięciu lat” – pocieszam go. „Odpukać!” – odpowiada z szerokim amerykańskim uśmiechem i odpukuje na drzwiczkach drewnianej szafki. „Nie chorujesz?” – pytam. „Bogu dzięki!” – i znowu odpukuje z tym swoim „kipsmajling” uśmiechem. Nie żali się,

nie skarży się. Mówi, że mu dobrze. „A co robisz zwykle?” – pytam. „Byćże się! Leżę do góry brzuchem na łóżku.” „Wreszcie” – mówię – „bo całe życie pracowałeś... A odwiedza cię?” „O tak, czasem” – odpowiada. „A bywasz w Krakowie?” „O tak, przecież mam tak kamienicę”...

Oczywiście zaprasza do Ameryki. I mnie, i córkę.

Na odchodne mówię mu, że lecę na Wyspy Kanaryjskie i znów udaje zdziwienie – „Niewiarogodne. A czym?”. „Samolotem”. „A Ty Leszku polecisz do Ameryki?”. „No jasne! – ripostruje bez wahania. Leszek. Wieczny optymist. Bez tzw. długotrwałej pamięci.

### 20 marca

Rodzą się ludzie z muzyką w środku i rodzą się ludzie bez muzyki w środku.

I jedni i drudzy muszą przeżyć krótsze lub dłuższe życie.

Łatwiej może tym bez muzyki, bo nie są narażeni na te przeróżne porywy zwane fantazją, na zmienność nastrojów, kaprysy duszy, ba, na zarażanie się muzyką od innych.

Ale co to za życie? Bez muzyki...

### 21 marca

Czytam fragmentami fascynującą opowieść profesor (biofizyk) Barbary Czochralskiej o znajomości ze Stachurą. Po cichu myślę, że jest to opowieść o platonicznej miłości jej życia – choć może nawet nie do końca uświadomionej, o tym, jak umysł naukowy został uwiedziony przez poetycki. Podkreślam, co ciekawsze fragmenty, np. ten: „Nie przyszłość, której nie ma, I nie przeszłość, której nie ma, Ale przesuwająca się jak mały płomień wzdłuż linii lontu terażniejszość”.

Albo:

Wyjęte z felietonu Stachury zdanko na temat myślenia i poznania poetyckiego: „Wyjaśnieniem wentylacji jest określenie, że w każdym przewodzie wentylacyjnym siedzi troll i dmucha”.

Czochralska porównuje to z myśleniem naukowym, cytując Johna L. Casti: „Istotą metody naukowego rozwiązywania problemów jest możliwość ujęcia jej w postaci reguł postępowania, na podobieństwo programu komputerowego. Po prostu wprowadźmy dane początkowe problemu do zbioru reguł, kręcimy korbką dedukcji logicznej i czekamy na ukazanie się odpowiedzi”.

Czochralska dodaje od siebie: „W pewnym sensie bliższe jest nam „dmuchanie trolli” niż „korbka dedukcji logicznej”. Metoda naukowa oparta jest na doświadczeniu, doprowadza nas tylko do budowania modeli, które stają się instrukcjami działania, lecz nie odpowiadają na pytania dotyczące egzystencji człowieka”.

W innym miejscu Barbara Czochralska formułuje kapitalną metaforę: „Nauka była okiem tajemnym patrzącym na ludzkość i człowieka z zewnątrz, spoza planety, a

właściwie spoza Wszechświata (to chyba przesada – J.B.). Jej celem była wieczność. Dla nauki życie pojedynczego człowieka nie miało znaczenia. Nauka wykorzystywała z całą bezwzględnością swoich tajemniczych praw – których źródle sama nie rozumie – umysły i ciała milionów, miliardów, a może bilionów statystycznych ludzi, wpatrując z wielką przenikliwością jednym magicznym, laserowym Okiem, powstałym z wszystkich ludzkich spojrzeń – w Punkt, od którego zaczęło się życie (...) Punkt, w którym zamykało się wszystko. W fizyce była to teoria Wszystkiego, czyli teoria ostateczna, która chciała zamknąć całą wiedzę w jednej teorii, w jednym równaniu, może w jednym zdaniu: „Niech się stanie światło!”.

A czym jest według niej poezja? „Jej zadaniem, jak powiedział Edward Stachura jest: **UMIEŚCIĆ SIĘ W TREŚCI** (czyli w tym „rozżarzoną małym płomyku terażniejszości” – przyp. J.B.), a potem się w niej utrzymać. Tej poezji, która jest rzucaniem rzeczy małych naszego codziennego życia na tło wieczności. Tej poezji, która chce wyznaczyć i utrwalić nasze miejsce w nieskończoności, żeby zająć w przepaści oddzielającej istnienie od nieistnienia. Tej wreszcie, która widzi ziemię obrosniętą warstwą życia biologicznego i rzuconą w przestrzenie międzygwiazdne”. „Poezja utrwała to, co istnieje. Przez dotknięcie. Żeby to zachować. Nauka analizuje terażniejszość, żeby ją zmienić”.

Pani Barbara jest niezwykle mistycznym naukowym umysłem popadającym niekiedy w egzaltację, gdy pisze o poecie Stachurze. Ale książkę czyta się z dużym napięciem i zacięciem. Napisana fragmentami bardzo pięknie. Prawdę mówiąc, interesują mnie w tej książce bardziej myśli pani Czochralskiej – profesor biochemii – niż myśli poety Steda, którego, żeby nie było wątpliwości bardzo cenię, ale mam go już trochę dość.

### 22 marca

Barbara Czochralska o Ameryce:

„Czy Stachura znajdzie tu poezję? W tym kraju automatów, mechanizmów, praktycznego myślenia i rozsądnych ludzi. W tym kraju, gdzie dzieci rodzą się od razu kółkami mechanizmów. Gdzie wszyscy muszą działać, rozumować na tych samych obwodach elektronicznych. Spotykam tu Polaków do połowy jeszcze żywych, w połowie zamienionych w automaty o twardych mózgach”. Gdzie indziej pisze o zautomatyzowanym życiu: „tu wszyscy są chłodni”...

cdn.





## Poetycka kronika wojny w Ukrainie

Książka **Kazimierzy Szczykutowicz** składa się z dwóch części: wierszy tematycznych nt. wojny na Ukrainie oraz Newsów umieszczonych na stronie internetowej – *Poezja polska*. Tej drugiej części nie będziemy omawiać, bo są to utwory ogólnie dostępne, ale skupimy się na wierszach zamieszczonych w pierwszej części związanych z tą wojną. W „Słówwku autorki” Autorka wyjaśnia swoje zabiegi edytorskie i pisze: „Zamieszczony w tomie *Drżące cienie* wiersze, to zaobserwowane momenty zjawisk, a zbiór słownych obrazów tworzy całość krajobrazu. Niepokoje, radości, smutki, nostalgia i euforie są przyporządkowane do adekwatnych strof. Wiersze podkreślają szczegóły, wnioskują w sedno natury ludzkiej, pobudzają wyobraźnię, umiejscawiają fakty, z którymi każdy człowiek mógł się spotkać, a jednocześnie nie są to dokładne odbicia zdarzeń”.

Część tę otwiera utwór pt. „Być poetką!”, gdzie poetka pisze m.in.: „Poezja to życie i wiosna w rozkwicie / zimowa gruda jesienna szaruga / lato ciepłolubne i pomysły zgodne / euforie nostalgii i nudy na pudy // poezja to śmiech trylanie i granie / smutki i uciechy // wszystko co stoi leży płynie biegnie / obraca się i wiruje pąsowieje oraz blednie // (...) no i jeszcze coś małego / czego nikt już nie posiada // prócz tego co wierszem gada”.

W kolejnym wierszu czytamy: „Po drabini życia / a świata coraz mniej // urwana ściana nadziei / z nagimi cegiełkami zdarzeń / wspiera terazniejszość // kruche spoiny / wyrzywa wiatr emocji”. To doświadczenie pisarskie wojny podpowiada Szczykutowicz, iż sumienie człowieka przestaje działać i chce się, by „zło wojny” „zmieniło się w nicność”. Czuje widmo zagłady, które smakuje jak „cierpki miód”. Podpowiada, że człowiek winien „kochać nieprzyjaciół”, a nie postępować „wet za wet”, choć ma świadomość, iż bez wojny nie ma zwycięstwa, kiedy cena życia ludzi staje się wymienna na ruble, euro i dolary. Nie rozumie, iż człowiek w wieku dwudziestym stworzył tak okrutny świat, przepętniony „czarnymi charakterami” i nawałami łez, zaś „matka Ziemia” wszystkich traktuje jednakowo. Polegli Ukraińcy i Rosjanie, po śmierci „podają sobie ręce” w zbiorowych grobach, zaś żyjący chleba i wody. Miasta martwieją, wypełniają się koszmarami żywych i umarłych, krzyżami znaczącymi miejsca ich cierpienia, życia i śmierci. Miłość staje się także mową nienawiści, milczącym wołaniem, sięgającym samego Nieba. Echa tej wojny sięgają również Afryki, gdzie ludzie głodują i podejmują migracje do Europy, choć ta nie daje im większych szans przetrwania.

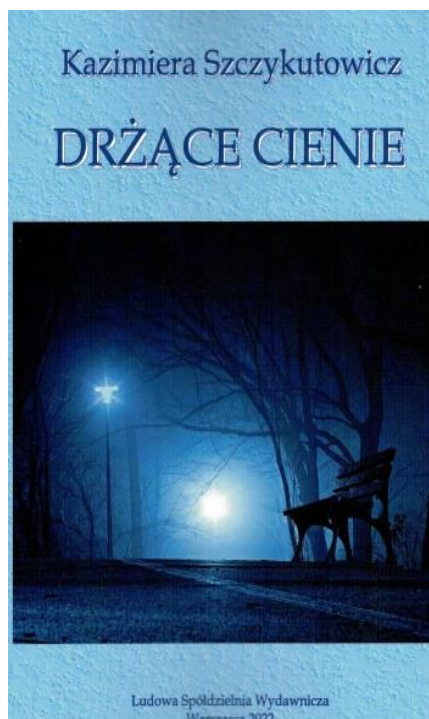
Ludzie – konstatuje poetka – stają się coraz bardziej zagubieni, boją się wszystkiego, zdrada tkwi w ich gardłach, marzą o cudach, chowają marzenia we wspomnieniach z dzieciństwa, zaś natura przypomina im krainę piękną, choć podświadomie wiedzą, iż życie to

przypadek, w którym trwają. W „dziś” budują własne „teraz”, chwalą „ciepło domu”, kiedy widzą eskalującą wojnę. Marzy im się ucieczka w przestrzenie międzyplanetarne, dekonstruuja słowa, bo sądzą, że nowe ich znaczenia podniosą jakość trwania we wszechświecie. Często doświadczają obecności Boga we własnej duszy tak, jakby świat był bajeczny. Boją się biedy i dekapitacji, zaś wiara religijna odsyła ich do „krajów czarów”, samo życie natomiast postrzegają jako jesień, kiedy w ciszy rośnie „siła słowa” i codzienność staje się „dwugarbna”. Niekiedy wydaje im się, że otoczenie przypomina cmentarz, a pobratymcy przypominają zmarłych. Toteż wątpliwy dla nich jest sens tworzenia poezji i ona sama, bo nie widzą w niej narzędzia nadziei na wieczność, doświadczenie światła prowadzi do poczucia rozdarcia i unicestwienia. Wartości głoszone z ambony stają się względne metafizyczne, aby być człowiekiem. Filozofia traci wagę „kamienia metafizycznego”, a władza pieniądza deprecjonuje człowieka. Pomiędzy poezją i prozą życia rozwija się konflikt nie do rozwiązania: „być albo mieć”.

Tworzenie świętych, np. JP II, czyni z tych ludzi niepotrzebne sacrum. Należy zakończyć tworzenie tzw. Marionetek i połączyć ludzi z ich cieniami, pamiętając o tym, że jesteśmy śmiertelni, a świadomość tego faktu pozwoli nam lepiej żyć, kiedy porzucimy bzdurny kult „upływu czasu”, a w konsekwencji szerzenie „siły zła”. Wtedy będziemy mogli uczestniczyć twórczo w demokratycznym „tańcu życia” na Ziemi.

Warto wskazać w tej książce idee prze-myśleć, bo pozwalają na widmo lepszego jutra.

prof. Ignacy S. Fiut



Kazimiera Szczykutowicz, „Drżące cienie”. Redakcja: Jerzy Dobrzański. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2022, s. 148.

## Przywracanie pamięci...

Nieprawdą jest, że kiedy umiera poeta/człowiek, umiera cały świat. Bardzo szybko o poecie/człowieku zapominają wszyscy. No... Może... z wyjątkiem nielicznych, dziwnych uduchowionych istot takich jak: **Renata Adamska-Garbowska** poszukująca w słowie człowieka – niekoniecznie z biblijną wykładnią – i człowieka w owym słowie czująca całym sacrum bytu: z tym wczoraj co będzie jutro, a przez chwilę jest dziś! Przemawiająca wierszem jak Rybałta – w znaczeniu staropolskim – „artysta sztuki plebejskiej, wędrowny śpiewak, posługujący się językiem narodowym”.

Zastanawiam się co by było **owym** tchnieniem, palcem Bożym, może wewnętrznym nakazem, że sięgnęła po osiemnastu latach od śmierci Dariusza Wiśnego do zleżałych, pożółkłych, pokrytych grubą warstwą kurzu szkolnych kajetów. Leżących w kącie strychu razem z orzechami na gazetach. Na dnie gierkowskiej szafy „na wysoki połysk” skrzypiącej przeszłością. Jest w tym działaniu początek niezamierzonego **dobra**? Czy Miriam (Zenon Przesmycki) w 1905 roku sięgając do rękopisów i pierwodruków Cypriana Kamila Norwida przypuszczał, że do polskiej literatury „dokłada” trzeciego wieszczka. A Max Brod wielokrotnie zapewniający Franza Kafkę o jego talencie, wydawca dzieł prozaika z Pragi i autor wielkiej monografii o jego twórczości. Zakładał co jego starania przyniosą światu? Kazimierz Wyka publikując w podziemnym „Miesięczniku Literackim” „list do Jana Bugaja” (1943, poświęcony wierszom młodzieńczego poety, a w 1961 całość liryki w dziele *Krzysztof Baczyński 1921-1944* miał świadomość, że podharcemistrz Szarych Szeregów stanie się pierwszym głosem poezji pokolenia wojny. Może moje przykłady są wygórowane, ale czas jak ogień dokona oczyszczenia (*katharsis*).

\*\*\*

Renata Adamska-Garbowska pisząc *poetycką pieśń wspomnieniową o Dariuszu Wiśnym* – prozatorskie miniatury biograficzne przetransponowane w zapis poetycki miała w podświadomości filozofię Lwa Szestowa: „Dopuszczyć i przyjąć absolutną wolność jest dla nas tak trudno, jak trudno człowiekowi żyjącemu zawsze w ciemności spoglądać w światło”. Mam na myśli nie tylko ostrość zmysłów. Ale przede wszystkim ostrość osądu? Wszak dużą rolę w procesie twórczym odgrywają spotkania i rozmowy z Matką Dariusza. Rówieśnikami – dziś już ludźmi w wieku średnim. Odpychającymi w mrok niebytu szarość tamtych dni powszednich. Pod naporem pytań i snu tych wspomnień widzą/kreślą buntownika o artystycznej duszy. „Jego poezja to dojrzały obraz rzeczywistych przeżyć autora ukazu-

(Dokończenie na stronie 18)

# Przywracanie pamięci...

(Dokończenie ze stron 17)

jący jego spojrzenie na wszystko czego **dotknął** w swoim młodym życiu”.

„O czym myślało niebo / zsyłając niespokojnego ducha (...)” zastanawia się autorka książki w pierwszym liryku otwierającym żywot bohatera. Od razu dodając: „czasem trzeba nam czerpać z kropli / by dostrzec potęgę oceanu”. – W mitycznym rozumieniu rzeki oblewającej cały świat. – Pełnego życia z nieprzewidywalną falą niosącą zło wyrządzone – nie rozbitkom – ich rodzinom. Dla poetki każde działanie, każda myśl jest krokiem ku ostatecznemu zrozumieniu własnego, jakże ulotnego i ascetycznego istnienia. Nieustannych sporów z mocami igrającymi człowieczym losem, próbą zinterpretowania – zrozumienia – własnej/naszej egzystencji. Wie, że konieczność podejmowania takich prób prowadzi do szerokiego pola obserwacji zjawisk i twórczego namysłu: „niełatwo kłócić się / samemu z sobą / zakładając że życie / jest pętlą niespodzianek / nie wiadomo / czego należy w nim szukać / skoro i tak zaskoczy / w najmniej oczekiwanym / momencie / zabawa w ciągle poszukiwanie / siebie / innych / świata / rozwiązań / bywa naiwnym przekonaniem / że cokolwiek wiemy / albo że / czegoś będziemy pewni // w zapachu każdego dnia / odnajdujemy / prawdę i nieprawdę jednocześnie // dochodząc do jutra / możemy odkryć jedynie / to co było wczoraj”.

Adamska-Garbowska poszukuje w tekstach oprócz lustra własnych przeżyć, potwierdzenia, iż jednostkowe doznania są okrucmem powszechnych doświadczeń. Kreśląc prozatorsko-poetycki esej staje się badaczem losu Dariusza Wiśnego. Uwzględniając płaszczyznę czasu w jakim żył. Znamienne jest – tak wyczuwam – odwołanie się do wspólnoty doświadczeń. Mimo wszelkich przeszkód – dystans minionych lat, sprzeczność „faktów” – trzeźwość osądu. Pomieszczone utwory – funkcja służebna – pozwalają odtworzyć portret rodzącego się artysty ponad wszystko. Walczącego. Ale świadomego co byt zabija twórcę. „W przestrzeni bólu / znikających przestrzeni / nieuchwytnego czasu / i samostnego przemijania / tylko ten jeden kadr / może na chwile zatrzymać świat”. Poetka w emulacji z rękopisów, sporadycznych pierwodruków i ostatecznej wersji odnalazła sygnały natchnionego autentyzmu, co zaświadcza o jej pasji w dociekanii prawdy. I pisarskiej zapalczywości i uczciwości.

\*\*\*

Dariusz Wiśny (1975-2005). Poeta? Muzyk? Fotograf? Dziennikarz? Przypomnieć trzeba lata, kiedy wchodził w dorosłość. Tę straszliwą pierwszą dekadę po transformacji ustrojowej 1989 roku lawinowego upadku

przedsiębiorstw, masowych zwolnień, gigantycznego bezrobocia, rodzenia się dzikiego dziewiętnastowiecznego wiecznego kapitalizmu. I dorywczych prac „na czarno”. To wtedy „kuronówka” – zupa i zasiłek pieniężny – weszły do potocznego słownictwa.

Pierwsze czytanie powierzonego materiału z reguły przynosi różnorodne o rozchwianej skali i zasięgu czucie przyswajanych treści. Choć trzeba przyznać, szarpnął „ciąg czytelniczy” i „mrowienie” recenzenta. Przeobrażeniu podlegają zarówno sensory ogólne studiowanych liryków (zapisków) jak i interpretacje części składowych. – Tu dużą rolę odgrywa czytelnicza wrażliwość i wnikliwość. – Przykładem tematyka egzystencjonalna:

*chłód żebraka umocnił jego samotność  
element nędzy człowieczeństwa mu  
postawiony  
parę groszy i wstręt estetyczny  
głupota przelewa się ulicami  
strumień swojej bezużyteczności  
(...)  
wielu wybrało pustkę  
(...)  
przyzwoitości przystoi  
zapomnieć (...)*

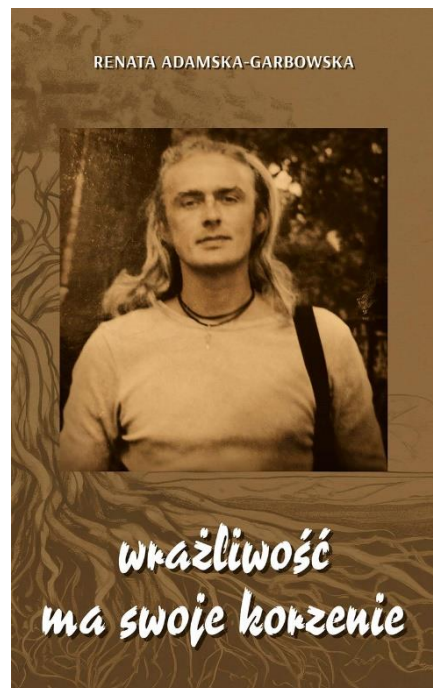
Sięganie/podejmowanie zagadnień egzystencjonalnych – biedy, starości i śmierci w indywidualny sposób – tu ma wymiar autobiograficzny. Zaspokojeniem potrzeb codzienności „walczyli” podobnie Rafał Wojaczek ten sam Wrocław i Marek Hłasko – robotnik najemny w izraelskich kibucach z siedemnastoma zawodami i pustym żołądkiem. Choć ich sytuacja literacka w analogicznym wieku była całkowicie odmienna. Jednak odruch Renaty Adamskiej-Garbowskiej uświadamia, że dorobek Dariusza Wiśnego, zwłaszcza po latach, to niezwykle ważne zobowiązanie dla polskiej – regionalnej (Ziemia Kępińska) – humanistyki. Zbiór wszystkich utworów domaga się prezentacji i omówień „jest gotowy / by powołać się / na wieczność” – przypomina autor w wierszu „sen”. A w „poezji wieków” dopowiada: „jeśli mam być szczery / to największe / postacie wieków / też zaprzętają mi głowę // mam poczucie // jakbym miał być / jednym z nich / chociaż wiem / że różnica / jest na pierwszym planie”. Tutaj cała wizja bytu przekształca się w wizję stawania się: doświadczenia należącego do sfery emocjonalnej. Mieszalnika jedności. Wiśny nie staje naprzeciwko własnego świata. Jego doświadczenie jest tożsamy z jego własnym bytem. Świat fizyczny niknie wobec dynamiki świata psychicznego i do niego się upodabnia. Wiele jest kreacji artystycznych. Pamiętamy Gombrowicza. Zdzisław Antolski do snu przebierał się za sobowtóra. A jaką postać w kolejnej odsłonie przyjął poeta:

*Boży gniew dotyka tylko tych  
którzy znają jego istotę  
nie narodziłem się raz  
skoro z sentymentem Boga wyznaje  
nie Boga jako postać czy głaz  
lecz jako transcendentny Absolut  
i nie mów że mrówczy nasz los*

*kochane są mrówki  
przyznaję*

Widzimy tutaj: metaforą poezji Dariusz Wiśnego jest głębokie osadzenie jego światopoglądu w Bogu „transcendentalnym Absolutem”. Oczekiwanie na Niego. Ale jakie warunki musi spełnić człowiek na spotkanie z Bogiem? Przecież Bóg przychodzi „z niewiadomego”. Podobno odpowiada na niepokój człowieka, zjawia się „przywoływany przez wspomnienie” (PN,11). Wiśny niespokojny duch: goni za... po... do... Gdzie? Odpowiedź znajdujemy w pierwszej homilii papieża Franciszka w bazylice św. Jana na Lateranie (7 kwietnia 2013 roku): „Pomyśmy o dwóch uczniach z Emaus: smutne oblicza, puste podążanie, bez nadziei. Ale Jezus ich nie opuszcza: wraz z nimi przemierza drogę, i nie tylko! Cierpliwie wyjaśnia Pisma, które się do Niego odnosiły, i zatrzymuje się, by z nimi dzielić posiłek. To właśnie jest styl Boga: nie jest niecierpliw, tak jak my, którzy często chcemy wszystkiego i to natychmiast, także w relacjach do osób”.

**Jerzy Stasiewicz**



Renata Adamska-Garbowska, *wrażliwość ma swoje korzenie*. Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu, Sandomierz 2024, s. 157.



# Monet i Żarów spoglądają na świat

Impresjoniści skupiali się na uchwyceniu chwilowych efektów tworzonych przez światło czy zjawiska, występujące w przyrodzie. Portretowali codzienność, skupiając się na jej pozytywnych aspektach, bez wydumanego zagłębiania się, bo impresja to ulotność chwili, złapania i utrwalona.

Dlaczego o kierunku w sztuce, gdy podjęty zostaje temat poezji? Nietypowo, bo pisanie o dwujęzycznej, polsko-francuskiej (tłumaczenie: Monique Bronner), książce poetyckiej **Stefana M. Żarowa** „Impressio”, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Diecezjalnego i Drukarni Sandomierz w 2023 roku, to pisanie o stworzonej, przez poetę, w jednym miejscu, wystawie Oscara Claude Moneta, francuskiego malarza-impresjonisty. Jak czytamy w posłowie to *malarz pozbawiony klasycznych skrupułów, odkrywający istotę natury, bez jakichkolwiek ograniczeń formalnych, dla którego najważniejsze było światło i to, co on wydobywa z natury* (s. 92). Żarów zabiera odbiorcę na spotkanie ze sztuką poprzez stworzenie poetyckiego przewodnika. Nie ulega wątpliwości, że czytanie wierszy poniekąd wymusza konieczność zapoznania się z twórczością malarza lub choć zerknięcie na dzieło, o którym mowa w wierszu, a tu wybór jest bardzo duży. 43 utwory, można powiedzieć, dobre frazy, stanowią całość zbioru poetyckiego, w których tytuły bezpośrednio nawiązują do tytułów obrazów Oscara Claude Moneta. To bardzo przydatna wskazówka, by móc skonfrontować z sobą dwa spojrzenia (poetyckie i malarskie) i ocenić, w jakiej mierze poecie udało się oddać treść widzianego dzieła. Żarów napisał swoje utwory, wymuszając na czytelniku przyjęty przez impresjonistów sposób postrzegania. Autor włął w swoje wiersze ducha tego gatunku:

*gra światła i cienie  
jaskrawych plam  
zakotwiczonych w organie zmysłów* (s. 30)

– chcąc w jak najbardziej wiarygodny sposób przybliżyć twórczość Moneta, z jednej strony, z drugiej, by pokazać, że poezja współczesna potrafi korzystać z dobrodziejstw sztuki. Mamy polskich przedstawicieli impresjonizmu, chociażby Kazimierz Przerwa-Tetmajer, więc czemu nie pokusić się o próbę raz jeszcze. Czy ten zabieg udał się Stefanowi Żarowowi? Z dużą dokładnością ujął w słowach to, co najważniejsze w widzianym dziele, czyli przede wszystkim światło i jego znaczenie na obrazie. Skupia również uwagę czytelnika na tym, co owo światło daje i pobudza wyobraźnię czytającego. Jednak poeta nie pozostawił swoich utworów tylko w obrębie jednego kierunku.

Wprowadził do wierszy dokładniejszy opis, skupiając się na detalach:

*wirująca suknia styka się z niebem*

*wzrastający chłopiec pod osłoną matki  
Camila i Jean* (s. 82),

rozbudowując widziany obraz. Autor jest pewny tego, co robi, nie jest to tylko próba, a przemyślany zabieg. Można zadać pytanie czy Żarów nie zastosował takiej formy, by ułatwić czytelnikowi odbiór dzieła sztuki, czytamy przecież we wspomnianym już posłowie: *Myślę, że lektura tych wierszy stanie się inspiracją do zapoznania się z dziełami malarskimi Claude Moneta i wzbudzi potrzebę podążania śladami mistrza oraz wywoła pełnię doznań estetycznych z tego płynących* (s. 93).

Jeżeli miał taki cel, to zapewne udało mu się wzbudzić zainteresowanie, nakazać pójście za słowami i porównać słowo z tym, co widziane. Jest to oczywiście piękny, słowny przekaz obrazów. Spacer po miejscach, które zachwyliły Moneta, patrzenie jego oczami i odbieranie efektów dzięki jego zmysłom.

Nie należy jednak skupiać się tylko na tym, że Żarów skorzystał z obrazów Moneta i na ich podstawie stworzył zbiór wierszy. Można zastosować odskocznnię od samego powiązania wierszy z twórczością malarską Moneta i zwrócić uwagę na formę wierszy, gdzie ciekawostką jest sposób zapisu każdego kolejnego utworu, a przede wszystkim jego zakończenie. Wiersze ułożone zostały tak, by czytając puentę każdego z nich stworzyć pewnego rodzaju ścieżkę, kolejność następujących po sobie kroków, bo gdy *Monet odłoniwszy świat wodnych dywanów / kreuje mistrzowskie impresje* (s. 6), to robi kolejny i *drobinami plam zatrzymał chwilę* (s. 30), a następnie *rozsiadł się pośrodku jesieni* (s. 86). Czy nie dzieje się tak, że żyjąc, nie dostrzegamy tego, co w życiu ważne, a gdy nadchodzi życiowa jesień, człowiek chciałby cofnąć czas, bo zdaje sobie sprawę, jak wiele przeoczył. Impresjoniści zwracają uwagę, na to co ważne w danej chwili, co zostało stworzone przez światło, a Żarów, wykorzystując ten sposób patrzenia, chce zwrócić uwagę czytelnika na momenty, których w życiu nie dostrzegamy, widząc jedynie to, co zmaterializowane, dokładne, dające się poznać z każdej strony, a przecież *Monet drobnymi punktami odmierza przyszłość* (s. 82) i to właśnie one stanowią część tej przyszłości. Czytelnik poznaje tę drogę i jeśli będzie stąpał za autorem zrozumie, że w całym zbiorze jest coś więcej niż tylko zachwyty i oddanie się obrazom Moneta, gdyż życie, niczym *Monet spiesznie zapisuje chwilę* (s. 58), która nie powtórzy się drugi raz. Oczywiście ktoś powie, że to, co ten zbiór pokazuje (nazwijmy to dialogiem z Monetem) jest dosadne i nie trzeba się niczego doszukiwać, a jednak do odważnych świat należy. Podobnie jak impresjoniści skupiali się na uchwyceniu chwili, tak Żarów pozwala czytelnikowi na wychwycenie tych chwil, które mogą zostać przeoczone podczas życia.

„Impressio” to szeroko zakrojony kontakt ze sztuką i jest to w zbiorze najważniejsze. Stefan M. Żarów przeprowadził czytelnika przez prace Oscara Claude Moneta, dając możliwość szerszego spojrzenia. Świadczy to o dużej umiejętności poety, o jego zaangażowaniu w cel, jaki sobie postawił. Nie trzeba być bowiem we wszystkich tych miejscach, o których mowa w wierszach, by je poczuć i chcieć zrozumieć w szerszym kontekście.

**Sylvia Kanicka**



Stefan M. Żarów. *Impressio*. Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia, Sandomierz 2023, s. 95.

## Spiski życiowe

Gdybyśmy się kiedyś natknęli na rzecz o **Wacławie Sobaszku**, spisaną na wielu kartkach papieru, skrętnie złożonych i włożonych do koperty, to z niej niewątpliwie odczytalibyśmy, że artysta jest pisarzem, poetą, muzykiem, aktorem, reżyserem teatralnym, kierownikiem artystycznym Teatru Węgałty i gospodarzem Festiwalu Wioska Teatralna. I byłaby to prawda niezaprzeczalna. W środku jednak znaleźlibyśmy całkiem inny Sobaszkowy autoportret. Pochodzący od niego samego. Człowiek, który pokonał system, a jednocześnie – i przewrotnie – postkomunista, choć może raczej postpeerelowiec. Przeźroczyły duch warmińskich pól, łąk, lasów i wzgórz. Na poły rzeczywista postać z koleśniczych i allelujkowych wędrówek po Dolnym i Górnym Śląsku, Sandomierszczyźnie, wsiach łemkowskich. Jogin pojawiający się czasami nad brzegami Buga, Wisła, Pilicy. Bacznym obserwatorem społecznych zachowań na kolejno-

(Dokończenie na stronie 20)

# Spiski życiowe

(Dokończenie ze strony 19)

wych szlakach pomiędzy Niemcami, Tatrami i Olsztynem. Niezwykły zbieracz okrucich hiszpańskich i francuskich dni i nocy. Samotnik nadbałtyckich plaż i towarzysz irrealnych nocnych biegów swojego przyjaciela. Pamiętnikarz poetów, malarzy, animatorów kultury, muzyków, owładniętych alkoholowym stuporem sąsiadów węgajckiego gospodarstwa, rzemieślników, mechaników, znanych i nieznanym z imienia towarzyszy jego sztuk z domu pomocy społecznej. Syn odchodzącego ojca. Dziadek tęskniący za wnukiem. Te role, osobowości, cechy, umiejętności zamykające się i otwierające w Wacławie Sobaszku, podróżniku po jak najbardziej rzeczywistych krainach i wewnętrznych rozmyślaniach odnajdujemy w „Spiskach życiowych”, czyli dzienniku z podolsztyńskich Węgajt, pisany przez trzydzieści osiem lat.

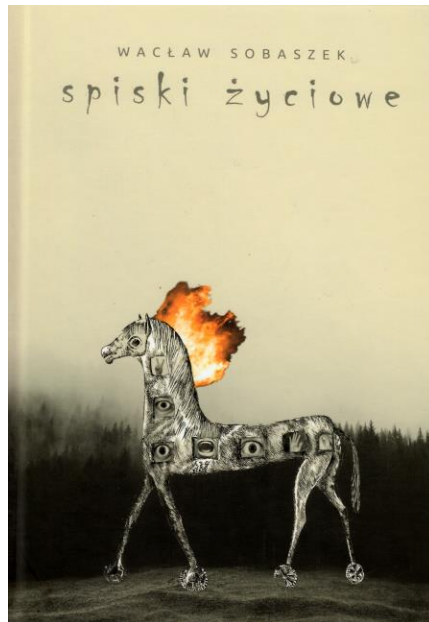
Szlaki, na które wybierał się Sobaszek samotnie i z teatralnymi Węgajtami za przyczyną zaproszeń, przyjaźni, instytucjonalnych programów, społecznej empatii, potrzeb iście etnograficznych, antropologicznych i ekologicznych, nie prowadziły jedynie po Polsce i Europie Zachodniej. Widzimy go przecież także w Czechach, Rosji i Białorusi, na Węgrzech oraz na Tajwanie.

A wewnątrz artysty? Cóż, to istna biblioteka, nie tyle z przepastnymi tomami i cienkimi, nikomu nieznanymi książeczkami na półkach, lecz z ogromem działów nauk i kierunków humanistycznych. Autorów nie sposób wymienić. Jedni nic czytelnikowi nie mówią. Inni zadziwiają swoją obecnością w życiu Sobaszka. Można sobie wyobrazić, że każda przeczytana przez artystę pozycja, może tylko przekartkowana albo, co chyba jest najbardziej prawdopodobne, przez wiele dni towarzysząca mu wieczorami wraz z nocną lampką, zmieniającym się krajobrazem za oknem wagonu kolejowego czy między teatralnymi próbami jest źródłem pomysłu, rozmów z najbliższymi współpracownikami i w końcu koncepcji kolejnego przedstawienia.

Duchowość, serce, umysł, intelekt Sobaszka nie są wypełnione wyłącznie literaturą. Ona wychyla się z poszczególnych wpisów w dzienniku. Codziennie, co tydzień, co kilka miesięcy. Nie da się odpowiedzieć, czy jest wyłączną inspiracją, czy łączy się i przenika z innymi bodźcami, które stanowią węgajcką przestrzeń. Autor „Spisków życiowych” opowiada, jak on sam ją wypełnia, staje się elementem krajobrazu poczynając od prac remontowych w gospodarstwie, które jeszcze w trakcie ich prowadzenia stało się teatrem, aż po rolę mieszkańca na równi z czarnym dzięciołem, sójką na parapecie, dziakiem stojącym na podwórzu, jeleniem ocierającym się o jedno z otaczających dom Sobaszków drzew. I ludzie. O nie! Nie są traktowani przez autora jednakowo. Tyle że... rzecz w Sobaszkowej empatii, atencji, szacunku, nawet czymś w rodzaju czułości. Ich odcieni i rodzajów artysta z Węgajt ma nieprzebrane ilości. Bez rozróż-

niania na współpracowników, zapraszanych artystów, wiejskich gospodarzy czy mieszkańców Domu Pomocy Społecznej w Jonkowie. Dysharmonię czytelnik znajduje tam, gdzie pojawia się przyjaźń, przywiązanie, a potem niewiarygodne poczucie straty, ból samotności, jakaś próżnia w miejscu, które nie powinno, bo przecież za wcześnie, stać się puste. Do tych osób wraca autor często. Tak jak do pisarzy i poetów mających wpływ na jego postawę życiową, stosunek do świata, drogę artystyczną.

Wspomnienia, zdarzenia, sytuacje, wydarzenia, czasami tylko jakaś drobnostka są dla wrażliwego i posiadającego niebywale rozwiniętą wyobraźnię Sobaszka intelektualnym impulsem do rozważań dotyczących życia i śmierci, aspektów filozoficznych, czasami ujętych w jeden tylko wers, ubranych w poezję, przybierających postać prozatorskiego haiku, połączonych z wnikliwą obserwacją przyrody, bądź cytatem literackim, co z kolei zmusza czytelnika do podążania wskazaną przez autora drogą, na której spotka dygresje i skojarzenia związane z własnymi doświadczeniami.



czasami enigmatyczność Sobaszka wręcz drażni. Wydaje się w pierwszej chwili nie pasować do ładunku emocjonalnego wspomnianego wydarzenia. Chociażby choroba i śmierć ojca, skonfrontowane przed czytelnikiem z zapisem o całodziennych wspólnych wyprawach samochodowych. Podobnie śmierci psów, które przez lata towarzyszyły Sobaszkom w Węgajtach, ujęte zostały w formie prawie suchych, zimnych dziennikarskich not. Czyżby autor te niewątpliwie ważne dla niego zdarzenia próbował w ten sposób zachować dla siebie, ukryć przed czytelnikiem swoje uczucia, wpisać w cykl życia i śmierci przeżywany wyłącznie osobiście, samotnie? Tak, jakby pewne sprawy rozdzielał na znaczące dla świata, ekosystemu, sztuki o charakterze społecznym i te dla siebie, które powinny być oznaczone dopiskiem: „Czytelniku, uszanuj!”.

O ile „Spiski życiowe” to dziennik pełen emocji autora, które wynikają z jego obserwowania najbliższego mu otoczenia tudzież świata szerokiego, a wpływającego właśnie na tę jego regionalną, lokalną dziedzinę, z którą dzieli i tworzy swój teatr, co chyba przykuwa największą uwagę czytelnika do postaci Sobaszka, to przecież czynione przez niego spostrzeżenia są dowodem wrażliwości autora na zmiany zachodzące w społeczeństwie, polityce, kulturze instytucjonalnej, czego sam stał się poniekąd ofiarą z początkiem lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Zdający sobie z tego sprawę czytelnik wyraźnie widzi, że Sobaszek przykładający wielką wagę do teatru jako miejsca scenicznego spotkania aktorów i widzów, którzy zamieniają się miejscami, rolami, ba! nawet funkcjami reżysera, scenarzysty, rekwizytora, chciałby, żeby uczestnicy życia społecznego wzięli bardziej aktywny udział w wielkiej sztuce świata. Do pracowały ją, pisali didaskalia, mieli wpływ na dialogi. Jest oczywiście bardzo oszczędny w słowach. W ten właśnie sposób zwraca uwagę na zanieczyszczone polskie rzeki (przywołuje Herberta). Albo ze zdziwieniem konstatuje, że samochód, który mu się wydał ozdobiony po hippisowski to tylko jeżdżąca reklama jakiegoś pożądanego produktu. Co rusz woła o wstrzeźliwość w jedzeniu mięsa, przywołując literaturę piękną. Wspomina znajomego, który zakładał olsztyński oddział Greenpeace. A wszystkie te zdawkowe zapiski to jakby zaproszenie czytelnika do kontaktu i z samym Sobaszkiem, i Teatrem Węgajty, a przede wszystkim do po prostu myślenia.

Jest tyle miejsc, zdarzeń, którym Wacław Sobaszek jako świadek, widz, gość, turysta, podróżnik przygląda się jakby mimochodem. Czytając „Spiski życiowe” wiemy jednak, że to nie jest przelotne spojrzenie. On patrzy z uwagą, wyciąga wnioski, jakby jednocześnie był na scenie i wśród publiczności, z obu pozycji czerpał dla siebie inspiracje do kolejnych sztuk mających tylko jeden cel: motywacja społeczności do działania, współtworzenia, wspólnego przeżywania.

Autor „Dziennika” motywuje w przeróżny sposób. Potrafi wprowadzić konsternację w idealnym, spokojnym świecie. Jakąś nieczyistość, coś z dołu, na przykład pijacką balladę w opozycji do śpiewanej hinduistycznej mantry. W obronie obu natychmiast przywołuje Grotowskiego, Gombrowicza... Popisuje się humorem nieco przypominającym zapiski Umberto Eco. Powodem jednego z najdłuższych w książce wpisów jest powszechny zwyczaj rozmawiania w przedziałach kolejowych przez komórki, połączony z rozważaniami, jak spełnić kobiecie apel do mężczyzny, żeby ci nie sikali na deskę klozetową. Zwracając uwagę czytelnika na wydarzenia kulturalne, literackie wprowadza ciągi dygresyjne. Na przykład w kolejnych zapiskach z początku 2008 roku przywołuje po kolei Gezę Vermesa, autora książki „Jezus Żyd”, następnie „Strach” Grossa, w końcu księdza Węclawskiego.

(Dokończenie na stronie 24)

## Filozofia codziennosci prof. Marii Szyszkowskiej (215)



Fot. Andrzej Dębkowski

Dodam, że wmawia się błędnie u nas, iż sens życia człowieka zawiera się w przedłużaniu gatunku. Zapewne jest to jeden z powodów oceniania homoseksualizmu jako choroby, bądź perwersji zamiast rozumienia, że jest to jedna z postaci normalnego życia seksualnego.

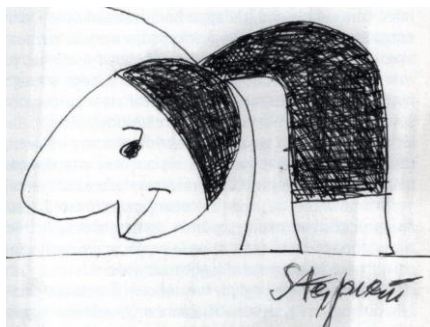
### VIII Genaza i dzieje projektu ustawy o związkach osób tej samej płci

Na Wydziale Filozoficznym Akademii Teologii Katolickiej studiował razem ze mną kolega odznaczający się wielką wrażliwością i wysokim rozwojem uczuć. Opowiadał mi z uniesieniem o przyjaźni, którą darzył pewnego muzyka. Słuchałam jego zwierzeń i trudno mi było zrozumieć – bo nic nie wiedziałam o homoseksualizmie – dlaczego cierpi, gdy jego przyjaciel spędza noce w żeńskim akademiku. Po próbie samobójczej Leszka, o którym tu mowa, próbie spowodowanej zdradami muzyka, którego kochał – zaprzyjaźniliśmy się. Zwierzał się z konieczności okłamywania rodziców, bo nie znieśliby wiedzy o takich skłonnościach syna. Po kolejnym, niestety udanym, samobójstwie Leszka (powiesił się znękanym cierpieniem nieodwzajemnionej miłości i zaszczuty przez otoczenie) – postanowiłam, że będę na miarę swoich możliwości dopominać się o zmianę stosunku do homoseksualistów. Nie wiedziałam wówczas, że będę mogła uczynić coś więcej niż tylko pisać na rzecz tego środowiska.

Wyrażałam moje poglądy w książkach, bo mocno przeżyłam śmierć przyjaciela. Działania o charakterze prawnym mogłam być podjąć, gdy zostałam wybrana do senatu RP w 2001 roku.

Zdawałam sobie sprawę z braku tolerancji w Polsce i z tego, że stosunek do homoseksualizmu zależy od stanu świadomości jednostek tworzących społeczeństwo. Wiedziałam też, że przepisy prawne zezwalające na związki homoseksualistów mogłyby najszybciej zmienić nastawienie do nich. Społeczeństwo łatwiej godzi się na to, co jest prawnie dozwolone.

Rozpoczęłam walkę z nietolerancją. Przystąpiłam więc do napisania ustawy o związkach partnerskich osób tej samej płci. Ustawa miała spełnić dwa cele. Po pierwsze, zagwarantować prawa osobom homoseksualnym analogiczne do tych, które mają heteroseksualiści. Po drugie, ustawa miała być poważnym elementem edukacji w duchu tolerancji. Napisałam tę ustawę w tajemnicy przed wszystkimi senatorami, poglądy bowiem nawet niektórych senatorów lewicowych też przepojone były nietolerancją dla homoseksualistów. Pracując nad ustawą kontaktowałam się jedynie ze światłymi seksuologami i prawnikami oraz z organizacjami homoseksualistów. Bywałam w dyskotekach dla gejów i odbyłam podróże po całej Polsce spotykając się na przykład na Uniwersytecie Wrocławskim i na Uniwersytecie w Białymstoku ze studentami o tej orientacji. W moim biurze senatorskim zatrudniałam dwoje prawników, którym bliski był mój pogląd. Pomogli mi w przełożeniu go na język prawniczy. Największym wsparciem były dla mnie rady udzielane mi przez filozofa prawa prof. zw. dr hab. Andrzeja Bałandynowicza. Pomagał mi nie tylko dzięki swojej wiedzy i mądrości. Towarzyszył mi, gdy odwiedzałam dyskoteki dla gejów i lesbijek, szukając poparcia dla projektu mojej ustawy. Ponieważ artykuł 18 polskiej Konstytucji stanowi, że małżeństwo jest związkiem kobiety i mężczyzny, więc w przygotowanym przeze mnie projekcie ustawy nie mogłam być użyć terminu małżeństwo. W uzasadnieniu projektu tej ustawy podkreśliłam, że nie jest on krytyką poglądów kościoła katolickiego, że dotyczy tych, którzy są wyznawcami innych religii zezwalających na takie związki, bądź osobami bezwyznaniowymi, lub agnostykami, czy ateistami. Uzasadniałam także tym, że Polska zamierza wstąpić do Unii Europejskiej, więc nasze ustawodawstwo nie powinno rażąco odbiegać od prawa państw ją tworzących.



Rys. Jan Stępiant

Zdecydowałam się złożyć ten projekt dopiero w 2003 roku, ponieważ mój klub parlamentarny był wcześniej zaabsorbowany referendum w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. Przewidywałam, że gdybym projekt tej ustawy złożyła wcześniej, to zostałaby odrzucony, ponieważ rządząca wówczas lewica zabiegała, by Kościół skłonił społeczeństwo do przystąpienia do Unii. Czekałam na stosowny moment dla ujawnienia w moim klubie tej inicjatywy ustawodawczej – przygotowałam projekty innych ustaw, a przede

wszystkim projekt ustawy dotyczący eutanazji oraz Kodeksu Honorowego Osób Pełniących Funkcje Publiczne. Dodam, że ustawy o eutanazji mój klub nie zgodził się skierować na drogę legislacji. Była ona jedynie przedmiotem burzliwych publicznie dyskusji. Zdałam sobie sprawę, że wielu spośród byłych marksistów tworzących mój Klub charakteryzowało się purytywizmem nie mniejszym niż katolicy.

Złożyłam projekt ustawy o rejestrowanych związkach partnerskich między osobami tej samej płci w lipcu 2003 roku władzom mojego klubu parlamentarnego. Spotkałam się z ostrą krytyką tego projektu. Zmiana przewodniczącego klubu na osobę o szerokich horyzontach myślowych, spowodowała, że po wielu naciskach z mojej strony, projekt ten został skierowany do senatu RP. Wcześniej decydenci chcieli ograniczyć znaczenie projektu jedynie do publicznej debaty. Uważali, że zaznaczy się poprzez nią, że partia zdaje sobie sprawę z tego, iż są – poza sprawami gospodarczymi – również istotne do rozwiązania kwestie związane z życiem człowieka.

Poinformowanie mediów o moim projekcie rozpiętało gwałtowne reakcje. Wstrząsającą był dla mnie stan świadomości naszego społeczeństwa. Nie tylko formułowano ostre zarzuty w prasie i w telewizji, ale otrzymywałam do biura senackiego i do domu listy z pogroźkami i wyrokami śmierci. Czytałam moje nekrologi. Na kłamce mojego mieszkania wiszono pięknie opakowane ekstrementy. Sprawa była tak bardzo poważna, że przez pół roku pozostawałam pod nieustanną ochroną policji antyterrorystycznej.

Natomiast inaczej zareagowali dziennikarze z państw w zachodniej Europie. Byli zaskoczeni, że w klerykalnej Polsce ktoś odważył się sformułować taki projekt ustawy. Byli zaskoczeni, że uczyniłam to jednoosobowo, że nie było przy jego przygotowaniu grupy wspierającej mnie, wyłączając profesora Andrzeja Bałandynowicza. Nawet kilka osób homoseksualnych, które znałam, a niezrzeszonych w związkach homoseksualistów, przekonywało mnie, że zbędne są moje wysiłki. Przyjeżdżali, by rozmawiać ze mną dziennikarze na przykład z Niemiec, Danii, a także ze Stanów Zjednoczonych.

Projekt ustawy przynosi prawne gwarancje ochrony wspólnie wypracowanego majątku przez pary homoseksualistów. Pozwala przyjąć nazwisko partnera. Wprowadza prawo do dziedziczenia po zmarłym partnerze, jak również emeryturę po zmarłym, korzystanie z ubezpieczenia zdrowotnego i prawo do wspólnego opodatkowania się.

Jako cel związku partnerskiego, podałam troskę o uczucia oraz wzajemną pomoc w rozwoju duchowym, czyli psychicznym. Dzięki tej ustawie homoseksualiści mogliby – tak samo jak heteroseksualiści – oficjalnie i uroczystie rozpocząć wspólne życie.

cdn.

Maria Szyszkowska

# Moja walka z rakiem

(60)

10 kwietnia 2020

Mamy coraz więcej zarażonych covidem-19. A pogoda piękna, jak na zawołanie. Tylko deszczu brak. Za to pełną łaki i błonia podpalane przez nieodpowiedzialnych rolników, którzy przyzwyczaili się do tego przez lata i nie chcą od tej złej tradycji odstąpić. W lasach zaś jest już 3 stopień zagrożenia pożarowego. Uroczystości wielkopiątkowe oglądaliśmy z Halinką w telewizji TVP Rzeszów za pośrednictwem Telewizji Trwam. Coraz bardziej przyzwyczajam się do takiego oglądania nabożeństw kościelnych. Nie wiadomo czy na starość się to nie przyda. Bo w szpitalu chodziłem jednak do kaplicy. Na razie mogę chodzić do kościoła, ale kto wie, co będzie, gdy pożyję jeszcze parę lat. Dobrze widzę po sobie, na czym polega starość. Już jej objawy dobrze czuję w kościach.

11 kwietnia 2020

Wielka Sobota. Mamy w Polsce 6356 zarażonych koronawirusem, 208 zgonów i 375 wyleczonych. Pandemia nie ustępuje.

Dziś też nabożeństwo wielkosobotnie oglądaliśmy w TVP 3. Jutro mszę też zamierzamy z żoną wysłuchać w telewizji. No cóż, nie będę dawał złego przykładu. Już się do tych obostrzeń przyzwyczaiłem. Staram się im podporządkować. Wychodzę tylko na spacer po osiedlu ze względu na lumbago, które mnie dopadło przed świętami. Robię 2-3 rundy dziennie, wtedy gdy jest ładna pogoda i ciepło, najczęściej w południe lub po południu. Bo pozycja siedząca czy leżąca wcale mi nie pomagają, tylko ruch. Niestety, nie mam wyjścia, muszę łamać bezduszne przepisy.

12 kwietnia 2020

Mszę wielkanocną, którą celebrował abp Jędraszewski, oglądaliśmy w TVP z Łagiewnik. Homilia miała charakter ściśle religijny. Po obejrzeniu mszy zjedliśmy śniadanie świąteczne. Wcześniej w kościele poświęciliśmy pokarmy: sól, chleb, jajka, chrzan i kiełbasę. I tym się podzieliliśmy. Potem był jeszcze żur z białą kiełbasą i jajkiem, sałatka z wędliną, no i do tego chleb. Po śniadaniu zjedliśmy ciasto z jabłkami. Obejrzałem też na TVP Historia I część włoskiego filmu o św. Augustynie. Jutro o 9.45 ma być wyświetlona część II.

Halinka siedziała cały czas w domu, ale jeśli chodzi o mnie, to 3 razy wyszedłem na półgodzinny spacer, tym bardziej, że pogoda była piękna i cały czas świeciło słońce, a temperatura sięgała prawie 20 stopni Celsjusza. Kwitną już tulipany, szafirki, bratki, forsycje, narcyzy, magnolie. Niebawem zaczną kwitnąć

bzy. Jutro ma padać. To dobra wiadomość dla naszej przyrody. Po raz czwarty poszedłem na spacer, kiedy zapadał już zmierzch. Niezwykłe święta. Pewnie je długo zapamiętamy. Cały czas władze karmiły nas optymizmem, jak dobrze jest, kiedy osiągniemy zarobki takie jak w Niemczech. No i w ogóle wszystko przy panu prezesie idzie dobrze. Same plusy, żadnych minusów. A tu jakaś pandemia przychodzi z Chin, nie, nie z naszego Liu Gongga, nie, choć to też chińska firma.

13 kwietnia 2020

Dzień zaczął się pięknie, ale po południu wiatr przywłókł chmury i zaczęło padać. Wyglądało na to, że rozpęta się burza. Ale skończyło się pokropieniem. Może w nocy się jednak odmieni, bo deszcz bardzo jednak potrzebny. Brak nowych danych o zakażeniach koronawirusem w Polsce. Mszę świąteczną o godz. 7.00 obejrzelśmy w TVP 1, nadawaną z Łagiewnik. Potem śniadanie razem z Halinką, kawa i reszta ciasta, które upiekła w pod koniec ubiegłego tygodnia. Chwila odpoczynku i II część filmu włoskiego „Augustyn”. Czasami mi się zdawało, że rolę Augustyna gra Królikowski, zaś biskupa donatystów w Hipponie – nasz Zelnik. Myślę jednak, że to tylko podobieństwo. Św. Augustyn, to wielka postać Kościoła, którego wpływ daje się zaznaczyć i dziś, choć jego filozofię i nauczanie zastąpił 8 wieków później święty Tomasz z Akwinu, opierając się na Arystotelesie. Obaj zresztą byli świetnie wykształceni w filozofii greckiej i rzymskiej, i należeli do najwybitniejszych myślicieli swoich czasów – jeden końca świata starożytnego, drugi – schyłku średniowiecza. Mamy 6934 zarażonych koronawirusem, 245 zgonów i 487 wyleczonych. Trzeba przyznać, że władze jednak panują nad sytuacją i bronią się przed niekontrolowanym wysypem pandemii, która na Zachodzie przybrała poważne rozmiary, podobnie jak teraz w USA. Na świecie mamy 1,8 mln zarażonych, 114 tys. zgonów i ponad 431 tys. wyleczonych.

14 kwietnia 2020

Po świętach nadal obowiązują wszystkie rygory, które podjęto jeszcze przed świętami. Minister zdrowia Łukasz Szumowski zapowiada rozmrażanie gospodarki dopiero za tydzień, czyli od 19 kwietnia. Jak to będzie wyglądać, zobaczymy? Teraz też cały czas władze nam wmawiają, że wszystko jest normalnie, choć policjant może mnie zapytać na ulicy, gdzie idę i po co, a nawet wlepić mandat, gdy odpowiedź nie będzie dla niego zadawalająca. Kościoły zamknięte dla nabożeństw, szkoły zamknięte dla nauki, w parkach, na cmentarzach, w lasach, nie wolno się gromadzić, nawet w kolejce pod sklepem, musi 2 metry odstepu jedna osoba od drugiej, a władza nam wmawia z min. Szumowskim na czele, że wszystko jest normalnie. I wybory 10 maja mogą się odbyć. Wyleciała mi godzinę temu plomba, chciałbym pójść do dentysty i przynajmniej się zarejestrować i umówić na

wizytę. Nie mogę, bo dentyści nie przyjmują. Normalnie?

15 kwietnia 2020

Byłem dziś w Rzeszowie na rezonansie. Udało się na czas dojechać i wrócić do domu o 13.00. To prawie cud w obecnych czasach. Tak się wszystko szczęśliwie ułożyło, można powiedzieć wyjątkowo. Bo często bywa inaczej. „Występowałem” w poczekalni w pracowni rezonansu w jednorazowej, kiepskiej jakości maseczce, którą otrzymałem od personelu. Później się dowiedziałem, że była chińska. Maseczki leżały na stoliku, dostępne dla wszystkich pacjentów. Zatrzymałem ją sobie na wszelki wypadek, bo jutro maski obowiązują już wszędzie, także na ulicy. W drodze powrotnej zajrzałem też do przychodni urologicznej. Funkcjonuje. Choć rano była tam jeszcze duża kolejka. Ludzie stali na dworze, mimo że dziś było wyjątkowo chłodno. Dowiedziałem się, że mam też przyjechać 29 kwietnia do dr. Pabisia, tak jak zostałem zarejestrowany w styczniu. A więc nie muszę czekać na telefoniczne powiadomienie. Przywieźć mam także ze sobą skierowanie z onkologii i wynik tomografii.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump obwinia za rozwój pandemii WHO, która w porę nie ostrzegła świata i zlekceważyła sobie to, co działo się w Chinach. Zapowiedział cofnięcie WHO dotacji w kwocie 111 mln dolarów.

16 kwietnia 2020

Wybraliśmy się z żoną w maseczkach do marketów. Widzę, że na ulicach i w sklepach ludzie przestrzegają wydanego przez władze nakazu chodzenia w maseczkach. To świadczy, że jesteśmy – wbrew obiegowym opiniom – społeczeństwem zdyscyplinowanym. Gdy przyjechalśmy z zakupów, dowiedziałem się, że paczka z książkami już dotarła i jest u sąsiada. Niezmiernie się ucieszyłem. Zaraz ją zabrałem do siebie, rozpakowałem i wyciągnąłem ze środka 2 egzemplarze, by zeskanować okładkę i wysłać ją wszystkim członkom klubu. A jednocześnie do wszystkich wysłać maila: kiedy i gdzie się spotkamy, by doręczyć almanach klubowiczom. Ma to być spotkanie organizacyjne, choć nie tylko. Także dyskusja, co będziemy robić dalej, w następnym roku. Bo jednak na pewno nie rocznik literacki. Na to nie jesteśmy przygotowani. To wymaga pieniędzy i wiele pracy. Trudno, bym robił to sam. Myślę, że ponowimy almanach. Bo tyle, niestety, obecnie możemy.

cdn.

Miroslaw Osowski



## POEZJA

**Rafał Bakalarczyk**, *Poezja obrazów*. Redaktor naczelny: Ryszard Sławczyński. Opieka redakcyjna o korekta: Patrycja Zygałdo. Przedmowa: Joanna Rolińska. Projekt okładki: Sławomir Pęczek. Na okładce wykorzystano obraz Rafała Bakalarczyka *Oderwane połówki Wszczęświata*, 60 x 60, olej na płótnie. Wydawca: AKWEDUKT Oficyna Wydawnicza, Wrocław 2024, s. 112.

**Artur Chlewiński**, *Wiersze z różą*. Projekt okładki i stron tytułowych (według zamysłu autora): Paweł Nieczyporuk. Wydawnictwo „Norbertinum” Lublin 2023, s. 46.

**Maciej Froński**, *Bielski tramwaj*. Ilustracje i projekt okładki Alicja Jakimów. Zdjęcie autora na okładce: Rafał T. Czachorowski. Maciej Froński, Bielsko-Biała 2023, s. 22.

**Robert Gawłowski**, *Boskie światło albo domniemany raptularz Johanna Schefflera, który przybrał imię Angelus Silesius / Göttliches / Bożskie světlo*. Tłumaczenie na język niemiecki: Edward Białek. Tłumaczenie na język czeski: Lubor Martinek. Redaktor prowadzący: Ryszard Sławczyński. Konsultanci: Maciej Bieszczad, Cezary Lipiński, Piotr Wiktor Lorkowski, Monika Taubitz. Opieka redakcyjna i korekta: Inez Kropidło. Projekt okładki: Dominika Gawłowska, Sławomir Pęczek. Na stronie 5: *Portret Angelusa Silesiusa*, Edward Kostka, 2014, olej na płótnie, 70 x 90 cm, ze zbiorów Klubu Muzyki i Literatury we Wrocławiu. Wydawca: AKWEDUKT Oficyna Wydawnicza, Wrocław 2024, s. 732.

**Salomea Kapuścińska**, *Piękno. Poezje wybrane. Wydanie polsko-czeskie*. / Krása. Wybór wierszy i posłowie: Mirosław Olędzki. Tłumaczenie na język czeski: Libor Martinek. Tłumaczenie na język polski: Katarzyna Cupała. Redaktor prowadzący: Ryszard Sławczyński. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Sławomir Pęczek. Wydawca: AKWEDUKT Oficyna Wydawnicza, Wrocław 2024, s. 172.

**Waldemar Okoń**, *Jeszcze jeden tom wierszy / Ještě jedna sbírka poezie*. Tłumaczenie na język czeski: Libor Martinek. Redaktor prowadzący: Ryszard Sławczyński. Projekt okładki, opracowanie graficzne, DTP: Natalia Okoń-Rudnicka. Fotografia na okładce: Marco Godinho, *Written by the water*, 2013-2019. Wydawca: AKWEDUKT Oficyna Wydawnicza, Wrocław 2024, s. 128.

**Marcin Orliński**, *Późne słońce*. Projekt graficzny: Marcin Markowski. Wydawnictwo Wolno, Lusowo 2023, s. 86.

**Adam Waga**, *Ścierni*. Projekt okładki i stron tytułowych: Robert Kleemann. Na okładce obraz Marka Chomczyka, *Ściernisko 2*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, s. 52.

**Przemysław Wechterowicz**, *Miłość to cyniel języka, który nie zawodzi*. Portret autora

na skrzydełku: Emilia Dziubak. Projekt okładki i grafika: Bartek Minkiewicz. *Biblioteka Literacka „Afrontu”*. Fundacja Kultury AFRONT, Bukowno 2023, s. 46.

**Kenneth White**, *Przymierze z ziemią*. Wybór i przekład: Kazimierz Brakoniecki. Seria *Szesnaście i pół*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury im. Henryka Berezy, Szczecin, Bezręcze 2023, s. 76.

**Konrad Wojtyła**, *Scherzofrenia*. Projekt okładki i stron tytułowych: Agnieszka Sitko. *Biblioteka Arkadii, Pisma Katastroficznego*, tom 213. Instytut Mikołowski, Mikołów 2023, s. 58.

## PROZA

**Hila Blum**, *Jak kochać własną córkę*. Przełożyła: Agnieszka Podpora. Projekt okładki: Gosia Herba. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 304.

**Grzegorz Bogdał**, *Idzie tu wielki chłopak*. Projekt okładki: Kamil Rekosz. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 198.

**Monica Isakstuen**, *Bądź dobra dla zwierząt*. Przełożyła: Iwona Zimnicka. Projekt okładki: Gosia Herba. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 248.

**Adam Kaczanowski**, *Ze Słowackiego*. Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2023, s. 104.

**Małgorzata Niemczyńska**, *Borys albo jeden dzień lata*. Projekt okładki: Karolina Korbut. Opracowanie graficzne: Lucyna Sterczewska. Wydawnictwo MANDO, Kraków 2023, s. 302.

**Irena Nyczaj**, *Struny Gniewu*. Redakcja i Posłowie: Stefan Jurkowski. Projekt okładki i kollaże: Irena Nyczaj. Zdjęcie autorki: Dagmara Głodowicz-Mazurek. Opracowanie komputerowe: Paweł Nyczaj. Nakład autorski, Kielce 2024, s. 118.

**Zośka Papużanka**, *Żaden koniec*. Projekt okładki i stron tytułowych: Anna Pol. Ilustracja na okładce: ©Han Cao. Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023, s. 254.

## NAUKA, SZTUKA KULTURA

*Klub Muzyki i Literatury – 65 lat*. Pomysł i opracowanie: Ryszard Sławczyński. Redakcja i indeksy: Inez Kropidło. Korekta: Patrycja Zygałdo. Projekt okładki i opracowanie graficzne: EDITUS – Sławomir Pęczek. Na okładce wykorzystano grafikę Edwarda Kostki. Wydawca: AKWEDUKT Oficyna Wydawnicza,

Wrocław 2024, s. 220.

**Robert Papięski**, *Oblicza Iwaszkiewicza*. Na okładce Aleksander Grzybowski, *Portret Jarosława Iwaszkiewicza*, 1921. Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie graficzne Wojciech Stukonis. Zdjęcie autora na iv stronie okładki Agnieszka Papięska. Wydawnictwo Akademickie SEDNO, Warszawa 2023, s. 504.

**Grzegorz Polak**, *Nasz Benedykt, czyli kwiatki Josepha Ratzingera*. Projekt okładki: Dominik Wicher. Zdjęcie na okładce: PAP/EPA/Ettore Ferrari. Wydawnictwo WAM, Kraków 2013, s. 270.

**Rüdiger Safranski**, *Goethe. Życie jako dzieło sztuki. Biografia*. Przełożył: Tadeusz Zatorski. Projekt okładki i stron tytułowych: Krzysztof Bielecki. Seria *Biblioteka kwartalnika Kronos*. Fundacja Augusta hrabiego Cieszkowskiego, Warszawa 2022, s. 834.

**Stanisław Srokowski**, *Nowa awangarda poetycka*. Redaktor prowadzący: Ryszard Sławczyński. Opieka redakcyjna: Stanisław Srokowski. Projekt okładki, opracowanie graficzne, DTP: Sławomir Pęczek. Zdjęcia z archiwum domowego Stanisława Srokowskiego, Ryszarda Sławczyńskiego oraz Wikipedii. Na okładce: Tadeusz Makowski, *Czworo dzieci z trąbą*, olej na płótnie, 81 x 100 cm, Muzeum Narodowe w Warszawie, 1929. Wydawca: AKWEDUKT Oficyna Wydawnicza, Wrocław 2023, s. 124.

**Janusz Szpotański**, *Bo mnie stać na błagę. Zbrane utwory satyryczne*. Opracowanie: Antoni Libera. Opracowanie tekstologiczne: Antoni Libera i Zygmunt Saloni. Projekt okładki i stron tytułowych: Piotr Tarasiuk. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, s. 488.

**Maria Szyszowska**, *Opowieść o Sławie*. Opracowanie redakcyjne: Andrzej Ziemiński. Opracowanie graficzne i projekt okładki: Iwona Polańska. Zdjęcia: I strona okładki – Zygmunt Samosił, IV strona okładki – Jan Stępień, Jerzy Płoński (MTJ), Krzysztof Rydzewski, archiwum prywatne Sławy Przybylskiej. Korekta: Grzegorz Bogucki. Wydawnictwo „Kto jest kim”, Warszawa 2023, s. 82.

**Michał Tabaczyński**, *Święto niewrażliwości. Morawy*. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Fotografia na okładce © Almy / Indigo Images. Fotografie wewnątrz tomu: Michał Tabaczyński. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 296.

**Miriam Toews**, *Wszystkie me daremne żale*. Przełożył: Mariusz Gądek. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 416.

**Mariusz Urbanek**, *Marian Eile. Początek cyfry z „Przekroju”*. Projekt graficzny: Andrzej Barecki. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2023, s. 412.

## Spiski życiowe

(Dokończenie ze strony 20)

W „Dzienniku” zwraca uwagę koncepcja „non violence” połączona z niezwykłą tolerancją. Widać, że w Sobaszku obie postawy się rozwijają w miarę potrzeb i zmian zachodzących w życiu artysty, szczególnie dotyczących zamieszkania i poszerzania działalności artystycznej, czy może raczej pewnego uwrażliwienia społecznego. Zaczyna wspomnieniem o odmowie służby wojskowej z podaniem recepty na skuteczność. Pisz o pracy w Olsztynie i związkach z peerelowskim instytucjonalizmem w kulturze. Stara się nie oceniać. Jednocześnie mierzą go problemy wynikające z głupoty i docenia wartość zalegalizowanej działalności związanej z państwem. Gdy jesteśmy już w Węgajtach, wspomina autor o wzajemnej z mieszkańcami wsi akceptacji, zrozumieniu, poniekąd ustępliwości a nawet pobłażaniu. Tutaj jednak pozostawia czytelnikowi duże pole wyobraźni, zaznaczając jedynie skonfrontowanie miasta ze wsią, obcego z mieszkańcami, artysty z ludźmi poświęcającymi się jedynie pracy fizycznej, sztuki i intelektu z alkoholizmem. Potem wychodzi poza Węgajty, koleduje i allelujuje w domu pomocy społecznej, zapewne i innych instytucjach. W tych czasach łagodności i uprzejmości, już w wolnej, demokratycznej Polsce wzbudzają Sobaszka ataki rasistowskie, szowinistyczne, dyskryminacja, tym bardziej, że ofiarą staje się jeden z artystów węgajckich. Wówczas zapisuje także to, co widzi na polskich ulicach.

W pewnym momencie zapiski bardziej dotyczą poszczególnych przedstawień, spektakli, performance'ów. Zaczyna jawić się czytelnikowi Sobaszkowy teatr, w którym wielką wagę odgrywają maski i kostiumy, muzyka i śpiew, taniec i dialog z widzami w ich domach. Z zasady Sobaszek nie pisze o treściach swoich sztuk. Scenariusz, a i samo wydarzenie są przed czytelnikiem ukryte. Pomagają przypisy, których jest nieco więcej niż stron „Spisków życiowych”. Zapiski będące reminiscencjami, krótszymi lub dłuższymi refleksjami, notatkami „ad hoc”, krótkimi emocjami bądź dłuższymi przemyśleniami o teraźniejszości z rzadka przekraczają granice dobrego smaku. Widać jednak w takiej dosadności burzę emocji. I to nie w reakcji na zło, głupotę spoza warmińskiego świata, wobec którego Sobaszek często jest bezradny, lecz po prostu z powodu niewątpliwie nerwowej i wymagającej ciężkiego opanowania pracy:

„26 czerwca 2017

Reżyseria: wkurw i cierpliwość” [1].

„Dziennik” kończy się datą 8 kwietnia 2020 i zdaniem: „Nie odpuszczając, nasłuchiwać, leśne znaki poznawać, poukładać jak się da, na kształt i podobieństwo naszych oddechów i ciał” [2]. Dzień wcześniej pojawia się ponad dwustronicowy wiersz, pandemiczny zapis...

**Jerzy Lengauer**

[1] Wacław Sobaszek, „Spiski życiowe: Dziennik węgajcki 1982-2020”. Wydawca: Stowarzyszenie Węgajty, 2020, s. 185.

[2] Tamże, s. 221.

## O świecie, który przeminął

(Dokończenie ze strony 11)

obuwie rolnicze, gratami i siodłami na konie, jarzmami na bydło, ale równie podkowami letnimi i zimowymi. Te ostatnie służyły do klucia koni na zimę na ostro i na lato na lekko Handlarze skupowali również skórki z królików i bydła domowego oraz owiec i kóz. Przy stołach z nabiąm kobiety wiejskie handlowały z paniusiami serami, masłem, śmietaną i serwatką. Około godziny dziesiątej i to targowisko cichło. Pozostawały tylko przekupki, które wcześniej zrobiły taniej zakupy, by później sprzedawać je drożej paniusiom, które lubiły dłużej sypiać. I tak pomiędzy godziną jedenastą i dwunastą cały ruch na rynku cichnął. W pozostałe dni tygodnia codziennie odbywał się handel tylko jajami i nabiąm między godziną siódmą a dziewiątą. Wszystko to obserwowałem codziennie przez siedem lat dorosły Jaś (Janek).

Od godziny siódmej trzydzięci pojawiały się grupy uczniów z tornistrami na plecach, które podążały do dwóch szkół podstawowych: Szkoły Podstawowej im. Juliusza Słowackiego (zwanej czerwona, bo była niewakowana) oraz Szkoły Ćwiczeń, która znajdowała się przy Kościele Parafialny im św. Elżbiety w Starym Sączu, w którym oczekiwała na powrót po wiktorii wiedeńskiej Jana III Sobieskiego jego żona Marysińska, o czym informuje tablica okolicznościowa przy małych drzwiach kościoła. Świadczą o tym również dwie duże lipy na Starosądeckim Rynku, posadzone tam na pamiątkę Wiktorii Wiedeńskiej...

**Igor Mostowicz**

## Powstanie... Warszawskie...

(Dokończenie ze strony 15)

wardowo w Teheranie w 1943 roku. Nauczka na przyszłość – licz tylko na siebie, a nie na sojuszników.

No i kwestia kadry dowódczej powstania – jak można wydać rozkaz ataku nie posiadając zapasów broni i amunicji. Dla zainteresowanych – polecam film „12 ton. Oni tam wszyscy są” – o konsekwencjach powstania dla ludności cywilnej.

**Numer 7:**

USA i Unia Europejska chcą nas wepchnąć do podobnej samozagłady. Pragną abyśmy zaatakowali Rosję. Ludzie pamiętajcie o Powstaniu Warszawskim, to największa klęska Polski.

**Urodzony Warszawiak:**

Masz dom. W tym domu mieszka cała twoja rodzina – ty, twoja żona, trójka dzieci. Pewnego dnia wprasza się do ciebie sąsiad. Wali mocno do drzwi, każe otworzyć. Ty nie chcesz go wpuścić bo jest agresywny. Barykadujesz więc drzwi. Naciskasz na nie z całych sił. W tym czasie drugi twój sąsiad wyłamuje twoje tylne drzwi, dostaje się do środka i sprzedaje ci konkretnego kopa w tyłek tak, że musisz odpuścić blokowanie drzwi i pierwszy sąsiad wbi się do domu. Drugi sąsiad wychodzi sobie na podwórko, a pierwszy rozsiada się w domu. Ma strzelbę więc przywłaszcza sobie twoje rzeczy, ubranie, zjada twoje jedzenie, wypija drogie trunki, niszczy meble, sra na środku pokoju, albo leje w kacie, od czasu do czasu zgwałci ci żonę, dzieciaki bije – jedno nawet już zatłukł na śmierć – pozostałym każe pracować na polu w strasznych warunkach nie dając praktycznie nic do jedzenia. Ty też od czasu do czasu zostajesz pobity, nigdy nie wiesz, kiedy zabije ci żonę, pozostaje dzieci albo ciebie, ale cierpliwie to znosisz bo masz nadzieję, że wreszcie sobie pójdzie albo pomagają ci inni sąsiedzi, z którymi on też ma na pieńku, bo ich domy też „splondrował”. I tak mija pięć miesięcy... Wtedy okazuje się też, że ten drugi sąsiad, który wcześniej wyważył twoje drzwi pokłócił się z pierwszym sąsiadem i chce go przegonić... zostali sąsiedzi też wzięli się w garść i słyszą, że będą się buntować, słyszysz już kroki na podwórku. Sąsiad, który na ciebie napadł ma strzelbę jest duży i silny, chociaż zauważyłeś, że jest już trochę tym wszystkim zmęczony, waha się i słyszy nadchodzących sąsiadów z obu stron... Odwraca się plecami i wygląda przez okno... Na stole w dużym pokoju leży nóż, niezbyt ostry, zwykły nóż do smarowania chleba masłem... Jest na wyciągnięcie ręki... Co robisz?

**Andrzej Dębkowski**

**Gazeta Kulturalna**

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Redaktor prowadzący – **Andrzej Dębkowski**.

**Współpraca:** Józef Baran, Małgorzata Dębkowska, prof. Ignacy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Adam Lewandowski, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajska, Janusz Orlikowski, Stefan Rusin, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

**Współpraca techniczna:** Małgorzata Kotala.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl